Nr 14 (1577). Warszawa, 8 kwietnia 1911 r. **Rok XXXI**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja zostały przeniesione do gmachu Tow. techników, ul. WŁODZIMIERSKA Nr. 5.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Omackiem.

We mgle duszącej i ciężkiej brodzą bezradnie politycy rosyjscy, szukając płonnie przebłysku zbawczego światła, a pisma, z ubocza śledząc ich giesty chaotyczne — gubią się w domysłach.

Konstytucja weszła w okres krańcowego marazmu, z którego może wyjść wzmocniona i odmłodzona, albo — nie wyjść wcale.

Nikomu nie jest tajne, że nowy ustrój prawny, tylekrotnie sponiewierany, okrojony i podrywany z różnych stron — wiedzie od dłuższego czasu żywot prowizoryczny, sztuczny, suchotniczy, ale trzeba było dopiero jaskrawego aktu z d. 27 marca, aby spostrzeżono, że z urządzeń konstytucyjnych pozostały nikłe bardzo szczątki.

Wstrząs poskutkował: dziś do obrony tych resztek zrywa się centrum umiarkowane, jak ongi próbowała ich bronić demokratyczna lewica. Nagłe pobratymstwo broni wiąże dłonie pp. Guczkowa i Milukowa, a niespodziewane ocknięcie każe prasie październikowskiej uderzać w ton, podobny do *Rieczy*.

Ale wokół tego zgodnego napozór chóru tworzą się dysonanse niepowołanych a dziwnych solistów. Skrajna prawica z p. Puryszkiewiczem na czele uderza z niebywałą furją na gabinet Stołypinowski, co potęguje jeszcze ogólne rozprzężenie. Wśród rozpętanej wrzawy *Nowoje Wremia* broni zarządzeń premiera z właściwym sobie spokojnym cynizmem: „Wszelkie— oznajmia ten miarodajny organ — ze strony członków Rady Państwa, mianowanych z góry, przeciwdziałanie prawom, wnoszonym imieniem monarchy—winno być traktowane, jako akt z ich strony rewolucyjny".

Na to czarnosecinne *Russk. Znamia* odpowiada zapalczywie: „Najbardziej lokajskim organem prasy jest ostatnimi czasy *Nowoje Wremia*, które bez ceremonji przeinacza fakty i wyrazy gwoli korzyści swego pana. Refleksje, czynione od chwili kryzysu na szpaltach tej gazety, osiągają ten stopień bezwstydu, że nawet przysięgli jej czytelnicy i czciciele zgodnie orzekli, że w rzędzie ostatnich artykułów są tam poprostu rzeczy podłe, pełne świadomych fałszów i rozumowań iście lokajskich".

Identyczne zdanie wygłasza pokrewna *Ziemszczyna*, a góruje nad tym wszystkim gniewny dyszkant starego kniazia Mieszczerskiego; aby zrozumieć istotny powód srogiej tych sfer irytacji, należy wziąć pod uwagę inny inspirowany artykuł organu p. Suworina, gdzie taki znajduje się ustęp:

„Rząd musiał nareszcie rozbić i zniweczyć hamulec, który paraliżował wszelkie zamierzenia na drodze stopniowego rozwoju nowych urządzeń prawnych tudzież polityki narodowej. Należało dowieść ludowi, że władza zwierzchnia stoi na straży nowego porządku".

Taka interpretacja wyjątkowych środków rygoru względem dwóch wybitnych *leaderów* prawicy czyni bezsprzecznie zaszczyt zręczności p. Stołypina i w najwyższym stopniu gniewa możnych biurokratów.

Podobne półurzędowe wersje puszczono w kurs zagranicą i na szpaltach wielkich gazet paryskich wykwitła sensacyjna nowina: *M. Stolypine a rompu avec la réaction!*

W tym wypadku manewr wspomniany jest nietylko wyrazem troski o popularność, ale i objawem troski o zachowanie bodaj konstytucyjnych pozorów wobec Europy, a zwłaszcza — złotodajnej Francji.

Wprawdzie trudno wpoić w świat przekonanie, by szczerym wyrazem tej pieczy o „nowy ustrój" było pogwałcenie § 87-go i wyzywająca postawa względem obu Izb; wszelako i tu organ p. Suworina, bynajmniej

z tropu nie zbity, wyjaśnia z całą flegmą, że i w Anglji rząd pospołu z koroną wypowiada walkę Izbie Lordów, by przeprowadzić swoje projekty; ze swej znów strony ultra-reakcyjna niemiecka *Kreuzztg.* porównywa Stołypina z... Asquith'em.

I w dalszym ciągu trwa historyczna gra w ciuciubabkę wśród nadnewskiej mgły. Członek francuskiej Izby posłów, p. Charles Leboucq, bawiąc w tych dniach w Petersburgu i obracając się przez czas kryzysu w najbardziej miarodajnych kołach, tymi słowy streścił swoje wrażenia: „Nie wiem, dalibóg, skąd pochodzą informacje, przesłane do pism angielskich i francuskich, jakoby p. Stołypin został *championem* wolności... W kuluarach Dumy jedno powszechne słyszałem zdanie: kraj znalazł się znów w obliczu tak rozpętanej reakcji, jakiej nie widziano oddawna".

Ze swej strony p. Fiłosofow, wybitny bardzo publicysta, bawiąc w Paryżu i nagabywany ze wszech stron o znaczenie kryzysu, mówił wręcz, że nic a nic nie rozumie, „bo żeby cośkolwiek zrozumieć, trzeba być w Petersburgu, i nietylko w Petersburgu, ale w petersburskich salonach biurokratycznych. Trzeba wiedzieć, co mówił prywatnie Witte, co poufnie opowiadał Trepow, trzeba podsłuchać rozmowę p. Pichny z Mieszczerskim, a nawet zajrzeć, jeśli można, do prywatnych listów jakiego ministra do ciotki lub kuzynki"... Nadto poleca p. Fiłosofow zapoznać się z dyplomatami tureckimi i perskimi: „tam jest zupełnie ta sama konstytucja — rozumiecie panowie?".

Panowie zrozumieli, ale nam się zdaje, że p. Fiłosofow ubliża Młodej Turcji.

A tymczasem wśród chaosu i wrzawy tkwi bezradnie olbrzymia nawa państwowości rosyjskiej, bez busoli i steru, pchana dorywczo w dowolnych zupełnie kierunkach. Taki jest wynik hasła rzuconego przed 4 laty: „naprzód uspokojenie — potym reformy". Jedno wydaje się jasnym we mgle, gdzie wszyscy brodzą omackiem. Oto rozpętany i bezwzględny nacjonalizm kresowy, pognębiwszy nadzieje inorodców zachodnich, mści się dziś na rdzennej Rosji w sposób nader dotkliwy i znamienny. Bowiem p. Stołypin, typowy kresowiec, przejęty głównie ideą ekspansji rosyjskiej na zachód i żądzą ciągłego wzrostu rosyjskiego „stanu posiadania" — oparł zręby całego gmachu państwowości na tych wąsko lokalnych i szlacheckich interesach kresowych i ten oto ciasny partykularny punkt widzenia uczynił wyłącznym probierzem spraw państwa.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Rząd chiński w oznaczonym przez ostatnie ultimatum terminie zdążył udzielić Rosji uprzejmej odpowiedzi, zredagowanej w tonie prawie pokornym, zgodnie z klasyczną tradycją wschodniej dyplomacji. Zgadzając się na utworzenie konsulatu rosyjskiego w Kobdo, rząd chiński pragnie porozumieć się bardziej szczegółowo w sprawie monopolu handlowego w Mongolji, przyczym rokowania mają toczyć się w Pekinie. Odpowiedź tę uznano snadź w Petersburgu za zadawalniającą pod każdym względem i niebezpieczeństwo wojny uważać można *na razie* za zażegnane.

Mówimy „na razie" bo pokojowej dyspozycji władz pekińskich przeczy nastrój bojowy i patrjotyczny, jaki z błyskawiczną szybkością ogarnia cały olbrzymi ten kraj. Było zresztą do przewidzenia, że wyzywająca postawa Rosji przyśpieszy ferment ewolucyjny Chin i zwróci przeciwko sobie całą energję bojową tych 400 miljonów ludzi wytrwałych, zdolnych i zaciętych. To też granica mongolska stać się może rychło niepokojącym na widnokręgu politycznym punktem, nad którym zgęszczać się będą czarne chmury, dopóki z nich grom nie padnie. Ogólną ciekawość budzi postawa Japonji wobec domniemanych zapasów rosyjsko-chińskich. Państwo Wschodzącego Słońca zdaje się prowadzić politykę chytrze dwulicową, pełną rezerw i niespodzianek. Nie szczędząc zachęt pośrednich dla Rosji i najwidoczniej szykując się

W kraju zadżumionych.

Pod Charbinem, opodal toru kolejowego, stoi barak miejski dla zarażonych.

Podróżny, podjeżdżając pod wysoki, naprędce z desek zbity parkan, zdaleka już spostrzega wartę po obojej stronie wrót. I nagle zdejmuje go dziwne uczucie. Niepodobna uczucia tego nazwać obawą. Poprostu dreszcz i chłód fizyczny przebiega mu po kościach, — uczucie silniejsze od przerażenia i pamiętniejsze nad zgrozę. Wstępuje on niejako w taki, od całego świata zwykłego odgrodzony, zakątek, g d z i e n i e m a i n i e m o ż e b y ć ś m i e c h u.

Tam jest też życie, są ludzie żywi. Lekarze, sanitarjusze, siostry miłosierdzia, odbywający kwarantannę i chorzy — zadżumieni. Ale jest to życie pozbawione śmiechu, skupione, milczące. Życie, które ani na chwilę nie zapomina o śmierci.

I to poczucie życia bez radości śmiechu napawa duszę nie strachem, ale bezdenną, ciemną rozpaczą.

Z baraku zadżumionych nikt jeszcze nie wyszedł. Zamykały się wrota za żywymi i odmykały się tylko przed trupami. Zadżumieni dogorywają bez nadziei, tracą przyjaciół i krewnych. Żona jednego z lekarzy całowała męża konającego skroś kawałek waty... Boże mój, gdzież są słowa, aby to wyrazić?... Powiadają, że doktorzy bezustanku musieli ją śledzić, aby się nie zaraziła. Lecz ja myślę teraz o chorym! Jak *on* przyjął, jak przeżył ten ostatni pocałunek drogiej sobie istoty? Pocałunek przez watę!

Wartownicy z dwu stron posunęli się ku środkowi bramy, zatrzymując nasz pojazd. Twarze ich surowe. Ruchy pośpiesznie zagradzają drogę. Strzegą oni osobliwego zakątu życia, gdzie się nikt nie śmieje.

— Przepustka.

Pokazujemy imienne papiery. Żołnierz, broń zarzuciwszy na ramię, wyciąga wolną rękę po bilet żółtej barwy, dotyka go sztywnymi palcami, jakby próbując, czy nie fałszywy. Wypada jakoś skrupulatniej sprawdzić prawo wstępu i wyjścia, ale jak to uczynić, żołnierz nie wie. Spojrzał na mnie, na bilet.

— To pański bilet?

— A czyjże?

— Więc dlaczego nie postawiono na nim daty?

Tego nie wiem, czemu nie postawiono. Aleć, czy to nie wszystko jedno? Podpis jest, pieczęć także...

Żołnierz ruchem niepewnym oddaje mi bilet i powoli cofa się na stronę, pozwalając na przejazd.

Szeroki dziedziniec. Baraki wzdłuż i wpoprzek

do aneksji południowej Mandżurji, zarazem udziela Japonja Chinom moralnego i materjalnego poparcia, życzliwym patrząc okiem na reorganizację armji i reformy w duchu konstytucyjnym.

Prasa rosyjska ze zrozumiałym zupełnie niepokojem spogląda w stronę Japonji, ostrzegając i rząd i społeczeństwo przed niemiłą z tej strony niespodzianką...

We Włoszech, w sam rozgwar uroczystości jubileuszowych, nastąpił kryzys ministerjalny: gabinet Luzzatti podał się do dymisji, pomimo, że w sprawie reformy wyborczej miał za sobą 265 głosów przeciw 70 Tekę po nim objął — po raz trzeci — nieuniknione p. Giolitti, poparty przez całą lewicę liberalną, radykalną, republikańską i socjalistyczną. Socjalista Bissolatti, któremu proponowano jeden z portfeli ministerjalnych, uchylił się od tego zaszczytu, nie chcąc snadź wstępować w ślady Brianda. Kryzys został rychło zażegnany; chwilowy jego dysonans zniknął niebawem bez śladu w hucznej radości, z jaką cały naród włoski święcuje jubileusz odrodzenia ojczyzny.

Lat temu równo 50, d. 27 marca 1861 r. Cavour, wobec parlamentu włoskiego w Turynie, proklamował zasadniczą, nieodzowną konieczność uczynienia z Rzymu papieskiego — stolicy Zjednoczonych Włoch... Znakomity ten mąż stanu umarł wkrótce potym, ale rzuconą przezeń zasadę wcielono w życie w ciągu niespełna 10 lat...

D. 27 marca r. b., poprzez niezmierzone tłumy, wśród niezmiernego aplauzu, udał się na Kapitol orszak królewski, by zagaić rozpoczynającą się uroczystość. Mowa tronowa obfitowała tym razem w szczęśliwe i pełne znaczenia zwroty, przyjmowane z niepohamowanym zapałem przez zgromadzonych w pałacu przedstawicieli narodowych i municypalnych. Zwłaszcza komentowany był długo ustęp, dotyczący współżycia Państwa i Kościoła, o następującym brzmieniu: „Tu w stołecznym Rzymie, Włochy tworzą obraz spokojnego sąsiedztwa Kościoła i Państwa, co zapewnia wolność zupełną i owocną zarówno religji, jak i myśli i wiedzy".

Jest to niejako, ze strony monarchy, odpowiedź bardzo powściągliwa i godna na wszczętą ze strony papiestwa kampanię przeciw uroczystościom jubileuszowym.

Istny wicher kryzysów przeszedł nad Europą, obalając prawie w jednym czasie długi szereg gabinetów: po Briandzie zachwiał się Luzzatti, potym —Stołypin, bar. Bienerth wreszcie — Canalejas.

Kryzys ministerjalny w Hiszpanji wynikł dość niespodziewanie, na tle sprawy Ferrera. Sprawę tę podjęli w Izbie republikanie, domagając się rewizji procesu i kierując ostre bardzo zarzuty przeciwko władzom wojskowym Barcelony. D. 30 marca *leader* republikański Melquiades Alvarez oświadczył wręcz, że liberalny i demokratyczny blok rządowy popełni akt zdrady względem swoich zasad, jeśli nie potępi bezprawi z listopada 1909 r.

Po tych słowach zapadło w Izbie grobowe, pełne lęku, milczenie. Duch Ferrera zdawał unosić się ponad głowami zebranych; raz jeszcze można było stwierdzić, jak niezmierną, przełomową rolę odegrał w życiu Hiszpanji skazaniec z Montjuich. Gdy premier Canalejas wstał, by odpowiedzieć, widocznym było, że pasuje się z sobą, że jest w ciężkiej rozterce.

„Znajduję się teraz — rzekł premier — pomiędzy prawicą, która broni swego honoru, a stronnictwem republikańskim, które pragnie snadź przysporzyć mi trudności. Jeśli zaś panowie nie macie celów politycznych, jeśli nie chcecie wzburzyć i poruszyć masy — to pocóż Wam czynić z tej sali rodzaj Konwentu?

Zwróćcie się do trybunałów. Projekt rewizji nie ma żadnej racji bytu w parlamencie. Byłby on zupełnym pomieszaniem władz, przekroczeniem granic, jakie istnieją między prawodawstwem a sądownictwem, byłby to krok niekonstytucyjny.

Rząd, będąc władzą wykonawczą, nie może ani potępiać, ani bronić wyroku w sprawie Ferrera".

Taktowne i rozsądne to wystąpienie, zyskując poklask większości Izby, ściągnęło na premiera niezadowolenie armji, zarzucającej mu zbyt miękką postawę wobec oskarżycieli. Kadry oficerskie, niezmiernie w Hiszpanji liczne i wpływowe, znajdując się w stałym kontakcie z klerem, stanowią siłę potężną, bez której korona obejść się nie potrafi; nic też dziwnego, że Canalejas, widząc niepokój króla, podał się do dymisji.

Na prawicy rozległ się wrzask tryumfu; gen. Weyler szykował się już do objęcia spuścizny, radosna wieść gruchnęła po Watykanie; krótko to jednakże trwało. Olbrzymia większość opinji w Madrycie i na prowincji poparła z całych sił ustępującego premiera; widząc co się święci, republikanie pośpieszyli zmienić taktykę; ze swej

---

Naukos przez dziedziniec stoi wyciągnięty długi szereg wagonów ogrzewanych.

Na wszystkim leży tutaj piętno struchlałej trwogi. Nawet napisy nad drzwiami baraków wyglądają, jak znaki ostrzegawcze. „Pomyśl, czy należy wchodzić, nawet zbliżać się tutaj przez ciekawość?" Własny oddech zaczyna się odczuwać, jako nową niebezpieczną działalność zaniepokojonego organizmu. Powietrze czyste i mroźne wydaje się czymś podejrzanym, kryjącym w sobie śmierć. Ach! gdyby można wstrzymać się od oddychania! Albo oddychać jak można najsłabiej, tak ledwie, ledwie, jednym wierzchołkiem nienasyconych płuc, maleńkim falowaniem piersi chciwej.

Około baraków, w maskach, w oponach chodzą sanitarjusze, noszą wapno. Słudzy rąbią drwa. Dymią zapalone stosy. Płoną rzeczy chorych, pozostałości rupieci. Pierś z zaufaniem, pełnym oddechem chłonie gorycz dymu. Żar wszech oczyszczającego ognia nie może już zawierać w sobie zarodów okropnej choroby.

Przeszła obok w białym zawoju siostra miłosierdzia. Przelotem, z surową ciekawością spojrzała na nas i poszła dalej, schyliwszy białą swą głowę. Na kalenicy otwartego baraku siedzi i skrzeczy sroka. Rozgłośna terkocąca pieśń lekkomyślnego ptaka wydaje się zbyteczna, niepotrzebna na tym strasznym zadżumionym miejscu.

W kantorze (wyraz ten dziwnie brzmi w obrębie zadżumionych baraków) ogarnął nas zbawczy zapach karbolu. Podłoga tylko co wymyta i jeszcze nie wyschła. Tam spotkał nas jeden z lekarzy posterunkowych p. Małow. Nieco otyły, powolny w ruchach, z nerwowo wysuniętą naprzód dolną szczęką.

— Do wnętrza budynku niemożna!...

— Dlaczego?

— Nie mogę. Nie wolno. Chcesz pan — wejdź, lecz potym zostanie pan już u nas pod obserwacją. Zakłady izolacyjne pokazać mogę. Obecnie spalamy trupy — też można obejrzeć. Dokąd więc iść mamy?

— Jedźmy popatrzeć na palenie trupów!

Obok posterunku sanitarnego niby ruina zburzonego miasta, na stoku chylącym się w dolinę rzeki Sungari, wznosi się opuszczona cegielnia.

Kiedy budował się Charbin, wyrastając jak grzyb po świeżym deszczu, w stepach Mandżurji na skrzyżowaniu nowych dróg kolejowych, dawało się odczuwać wielkie zapotrzebowanie budulca. W ciągu lat kilkanastu cegielnia owa gorliwie pracowała, wypalając dachówki i cegłę. Teraz zaś w opuszczonych jej piecach palone są trupy zadżumionych.

Przed nami, opodal, nad jednym z pieców kłębił się lekki obłoczek. Nie dojeżdżając do pieca, wysiedliśmy z pojazdu i poszli pieszo.

Część pieca znajduje się pod ziemią, część wystaje nad powierzchnią. Od powierzchni do wierzchołka ściany, w postaci stromego zbocza, usypana jest ziemia. Na jednym poziomie z drogą w ścianie widać

strony król Alfons XIII ujawnił raz jeszcze zdolność orjentowania się w sytuacji i najlepsze względem swego kraju chęci, powołując Canalejasa do niezwłocznej rekonstrucji gabinetu. I znów stanął u steru rządów ten niestrudzony szermierz, ten człowiek mężny i osobliwy, który ośmielił się jednym tytanicznym giestem podważyć ogrom wiekowego zastoju i pchnąć Hiszpanję na nowe tory.

„Antysemityzm postępowy".

Antysemityzm postępowy uważany bywa zwykle za jedno więcej w łańcuchu zjawisk, świadczących o wzmożeniu się reakcji w dobie upadku ruchu wolnościowego. Ma to być niejako pomost, po którym pewne osobniki chcą przejść z niedogodnych już dla siebie placówek postępowych do obozu konserwatywnego.

Zdaje mi się, że tego rodzaju tłomaczenie jest powierzchowne i że w całokształcie postulatów i żądań, jakie postawili publicyści dziś zwani antysemitami postępowymi, — niektóre przynajmniej domagają się głębszego zastanowienia.

Aczkolwiek walka z żargonem i z rusyfikatorskim wpływem litwaków bynajmniej nie stanowi wyłącznej cechy antysemitów postępowych, jednak niewątpliwie wchodzi w zakres ich dążeń. Otóż rozrost prasy żargonowej przypada na okres po-rewolucyjny. Napływ większych mas żydowskich z Rosji także nastąpił już w chwili osłabienia ruchu wolnościowego. Niepodobna było zwalczać prasy żargonowej, zanim ta powstała i niepodobna było przeciwdziałać wpływom żydów rosyjskich, dopóki ci siedzieli w Rosji. Przeciwdziałanie tym zjawiskom ma więc tylko chronologiczny związek z reakcją po-rewolucyjną, lecz jest uwarunkowane zdrowym zmysłem samozachowawczym narodu, który — aby istnieć — musi mieć gdzieś na ziemi swoje jednolite terytorjum językowe. O ile biurokracja wypędzając do Polski masy żydów litewskich czyni to w świadomym celu rozbicia jednolitości językowej polskiej, o tyle społeczeństwo polskie musi wytężyć wszystkie swoje siły, aby udaremnić zamiary biurokracji. Prasa żargonowa, utworzona przeważnie przez żydów rosyjskich, samą siłą swojego istnienia i rozwoju w dalszym ciągu rozbija polską jednolitość językową, również działając w duchu zamierzeń biurokracji. Walka z żargonem i z rusyfikatorskim wpływem litwaków nietylko sama przez się nie jest zjawiskiem reakcyjnym, lecz jest przeciwdziałaniem reakcyjnym planom biurokracji.

Walkę z żargonem i litwakami antysemici postępowi pragną prowadzić drogą zupełnego odsunięcia się ludności polskiej od żydów wogóle. Rozumują oni w ten sposób. Żydzi przyjmują zawsze narodowość narodu panującego: w Poznańskiem — zostali Niemcami, na Litwie — Rosjanami, w Słowaczczyznie — Węgrami. Te precedensy uprawniają do wniosku, że w Królestwie Polskim żydzi zostaną polakami tylko wówczas, jeżeli polacy będą tu narodowością politycznie panującą. Tymczasem zaś żydzi stanowią żywioł niepewny, grawitujący językowo i uczuciowo bądź ku Rosji, bądź ku Niemcom. Żargon coraz bardziej upodabnia się do języka niemieckiego, od którego zresztą i tak nie wiele się różni; inne znów grupy żydów akcentują swoje przywiązanie do Rosji nie tylko przez używanie języka rosyjskiego, lecz i przez tworzenie rosyjskich szkół prywatnych. Nieliczni żydzi spolonizowani, nie mając wpływu na masy żydowskie, nie przeciwdziałają tej rusyfikatorsko-germanizacyjnej akcji, natomiast zdobywają placówki wśród postępowego odłamu społeczeństwa polskiego, gdzie — częściowo nieświadomie, częściowo świadomie — znieczulają odpornośc tego odłamu na wpływy wynaradawiające. W dodatku, żydzi, jako klasa przeważnie drobnomieszczańska, zajęta głównie chałupnictwem i drobnym handlem, stanowią groźne niebezpieczeństwo dla proletarjatu polskiego. Chałupnictwo przeciwstawia się działalności związków zawodowych, drobny handel przeszkadza kooperatywom. Aczkolwiek istnieje drobnomieszczaństwo polskie i proletarjat żydowski, jednak wskutek przyczyn religijnych, z których święcenie soboty gra główną rolę, stosunek procentowy żydów w drobnomieszczaństwie jest tak znaczny, a w proletarjacie — tak nikły, że

---

wązki otwór pieca. Po zboczu wstąpiłem na szczytowy grzbiet ściany i spojrzałem nie bez wzruszenia w kamienną studnię. Płonęło tam sto trzydzieści trupów. Ściany pieca rozpaliły się, pobielały. Sprężyście kłębiło się, zgarniając języki płomienia, rozżagwione, syczące powietrze.

Trudno było patrzeć nawet z poza ściany, nawet z boku. Pęd żaru uderzał w twarz, parząc czoło, nos i oczy. Oderwać się atoli od owej studni ognistej z czarnymi postaciami trupów zwęglonych — nie było sposobu.

Patrząc w tę płomienną jaskinię, dawałem unosić się jakiemuś szczególnemu *zachwyceniu zgrozy*.

Lękam się, aby mnie nie potępiono; muszę wszakże powiedzieć, że widok ów miał w sobie straszliwe piękno, piękno sięgające wyżyn grozy. Było w tej otchłani gorejącej coś czarownego i przykuwającego. Chciałoby się potrzeć i patrzeć, nie odrywając oczu. Zapamiętać ten krągły, huczący, ognisty otwór, wszystkie jasne i ciemne plamy, kształty i barwy. Straszno i cudnie było patrzeć, jak ogień snuł dokoła czarnych trupów swe czerwono-złote pasma. Wiązał je w błękitne upowicia. Nieruchome, czarne sylwety zgorzałych zwłok, o podłużnych głowach z odrzuconymi w tył czołami. Mumje starego Egiptu w płomieniach!

Jeden zwłaszcza trup około ściany widzieć się daje z osobliwą wyrazistością. Wyprężył się, głowę odchylił wtył, ruchem męczarni przycisnął dłonie obie do piersi. Wysunął się po nad falę ognia, lecz po bokach owija go wstęga płomiennego szkarłatu. I tak leży nieruchomo w boleśnie wytężonej pozie.

Spala się to ostatnie, co pozostało z *człowieka*, — wyraz ostatniego poruszenia myśli przedśmiertelnej, rozpacz jego samotnej przedśmiertnej minuty. Spalają się zastygłe, skamieniałe *bolesne gesty*.

W odległości stu kroków od tego ołtarza dżumy — widać chłodne, lodowate mogiły zadżumionych. Doły różnej wielkości rozkopane. Niektóre pełne jeszcze trupów. Wzruszająco wysuwa się z ziemi drobna misterna stopa chińczyka w białym pantoflu. Powaliwszy się w kąt grobu, z twarzą ku dołowi opuszczoną, na poły w ziemię wkopany siedzi jakoby w zadumie stary chińczyk. Głowa jego wygolona gładko do połowy, włosy rozczesane, splecione w długi warkocz. Warkocz przeskoczył na ramię, kończąc się długą jedwabną wstęgą o dwóch rogach.

W drugim piecu złożono niewysoki ołtarz z drew. Jutro spłonie na nim trup studenta Mamontowa.

— Hej! a jeśli ja się zarażę, to w którym piecu mnie spopielicie?

— Wybieraj pan wedle gustu. W którym zechcesz, w tym cię spalimy.

Twarz doktora Małowa spokojnie poważna. Obejrzał się wkoło, westchnął i rzekł:

— No, cóż? wracajmy!

Z ros. przełoż. *I. Z.*

może nie być brany pod uwagę i tworzy się ekonomiczny materjał na antysemityzm proletarjacki, przypominający naprzykład niechęć robotników amerykańskich do robotników chińskich w Stanach Zjednoczonych, niechęć, wywołaną mniejszymi potrzebami i zdolnością kontentowania się mniejszym zarobkiem ze strony Chińczyków. Słowem wskazówka praktyczna, jaka wynika z tych wszystkich przesłanek politycznych i ekonomicznych, jest ta, aby zupełnie się odgrodzić od żydów wogóle i wytworzyć samowystarczającą sobie organizację polską, tak pod względem umysłowym, jak i pod względem ekonomicznym. Ponieważ żydzi podobnej samostarczalnej organizacji wytworzyć sobie nie mogą, więc będą zmuszeni do emigracji, ci zaś którzy pozostaną, spolonizują się szczerze i kompletnie.

Taka jest, według mnie, teza antysemityzmu postępowego.

Tezy tej nie podzielam; zaraz powiem dlaczego i pod jakimi względami różnię się z nią. Ale nie można jej uważać za głupią, za nieobmyślaną, za przejaw jakiejś kołtunerji drobnomieszczańskiej. W tej tezie „tout se tient", jak mówią Francuzi i wcale nie łatwo wykazać jej szczerby teoretyczne i praktyczne, o ile oczywiście chodzi nam o rozumowanie, nie zaś o obrzucanie się gradem mniej lub więcej kunsztownie spreparowanych wyzwisk.

Z tymi zastrzeżeniami przejdźmy do krytyki tezy antysemityzmu postępowego. Jest faktem, że żydzi na Litwie, w Poznańskim i na Węgrzech przyjęli narodowość panującą. Lecz jest faktem również, że we wszystkich tych wypadkach owa narodowość panująca była silniejszą nietylko politycznie, lecz i kulturalnie od narodowości ujarzmionych. Aby dowieść, że w Królestwie Polskim żydzi również mogą przyjąć narodowość panującą, należy dowieść że Polacy są tu słabsi od innych narodowości nietylko politycznie, lecz i kulturalnie, i że kultura polska nie ma siły ekspansywnej na gruncie Kongresówki. Wiadomo, że tak nie jest. Wiadomo, że Królestwo Polskie wraz z Finlandją to jedyne przykłady krajów podbitych, lecz stojących kulturalnie wyżej od swoich zdobywców, coś w rodzaju Greków ujarzmionych przez Rzym. Wolno więc przypuszczać, że tutaj prawo przyjmowania przez żydów narodowości panującej nie znajdzie zastosowania i że czynnikiem decydującym asymilacji nie będzie polityczna przewaga Rosji, lecz kulturalna przewaga Polski. Aczkolwiek tendencje rusyfikatorsko-germanizatorskie mas żydowskich są faktem niewątpliwym, lecz faktem jest również przeciwdziałanie tym tradycjom ze strony żydów-polaków. Wiadomo, że rząd stawia wszelkie możliwe przeszkody akcji polonizatorskiej, prowadzonej przez żydów-polaków śród mas żydowskich. A więc społeczeństwo polskie tym bardziej nie powinno zapoznawać tej akcji i odmawiać jej swego poparcia. Żydzi spolszczeni są liczniejsi, niż się zdaje i chociaż prawdą jest, że znaczna ich część zaciągnęła się pod sztandar ortodoksyjnego marksizmu, gdzie prowadzi robotę niesłychanie szkodliwą dla rozwoju ogólnego i niesłychanie korzystną dla utrwalenia istniejącej reakcji politycznej i społecznej, — niemniej znajdujemy Polaków pochodzenia żydowskiego i w innych odłamach lewicowych. Jeżeli niektórzy żydzi na drodze zwalczania antysemityzmu w społeczeństwie polskim zaszli tak daleko, że — zamiast zwalczać antysemityzm — zaczęli propagować bezwiedną germanizację i rusyfikację, bo — w swoich skutkach — popieranie żargonu nie jest niczym innem, jak germanizacją Polski, a odrzucenie hasła terytorjalnej autonomji politycznej Królestwa — jest niczym innym, jak jego rusyfikacją—to dobrze się stało, że tych żydów osadzono w miejscu, lecz to nie jest bynajmniej powód, aby społeczeństwo polskie miało ubożyć się przez usuwanie od siebie żydów spolszczonych, istotnie pracujących dla kultury polskiej.

Przewidywania dotyczące antysemityzmu robotniczego, wywołanego niemożnością przystosowania się żydów do nowych formacji socjalnych, zasługują na uwagę. Tu istotnie grozi żydom podwójne niebezpieczeństwo: wzrostu własnej nędzy i wzrostu niechęci do nich ze strony otoczenia. Wprawdzie wśród sklepikarzy i chałupników procent chrześcijan jest znaczny, a nieoceniony p. Karasiński zwalcza kooperatywę spożywczą z całą energją swojego drobnomieszczańskiego patryjotyzmu — niemniej pozostaje faktem, że procent żydów wśród robotników wielko-fabrycznych jest bardzo nieznaczny, i że dzieje się to przedewszystkim z pobudek religijnych. Niedawno *Kurjer Poranny* doniósł nam o oburzającym fakcie otrucia robotnika żydowskiego przez fanatyków żydów za to, że pracował w sobotę i jadł trefne. Otóż, jeżeli robotnicy nie będą mieli kolegów-żydów, jeżeli w organizacjach walczących z ich organizacjami będą zawsze spotykać żydów i jeżeli — co jest także prawdopodobne — ci żydzi będą silniej bronić swych drobnomieszczańskich sytuacji, niż chrześcijańscy drobnomieszczanie — to wytworzenie się antysemityzmu robotniczego jest możliwe. Rzeczą żydów jest jaknajprędzej zrzucić z siebie krępujące ich więzy religijne i przechodzić do szeregów proletarjatu wielko fabrycznego. Agitacja wolnomyślna wśród żydów jest niezbędną w ich własnym ekonomicznym interesie. Nie myślę przeczyć, że polonizacja żydów pójdzie szybciej po uzyskaniu autonomji, a nawet już po zniesieniu granicy osiedlenia, lecz jeszcze raz powtarzam to, co już kilkakrotnie miałem sposobność powiedzieć, że w obecnej trudnej chwili społeczeństwo polskie powinno dać wszelkie poparcie asymilatorom, t. j. właściwie spolszczonym żydom, polonizującym masy żydowskie. Nie można uważać za przegraną bitwy, która się dopiero toczy. Precedensy i analogje historyczne wskazują na trudności zadania, lecz jeszcze nie przesądzają o jego rostrzygnięciu, tym bardziej, że analogje te są niezupełne, bo wypadek wyższości cywilizacyjnej przy niższości politycznej, w jakim właśnie znajduje się Królestwo Polskie, jest bez analogji i bez precedensów.

Jerzy Kurnatowski.

Krzykliwe kłamstwa — nieme prawdy.

(Sarkazmy i refleksje).

Gdzie rzeczywistość jest ponura, a tchórze się obawiają prawdzie zaglądać w oczy, tam kłamstwo wyrasta do wyżyn wyidealizowanej zasady. Gdzie rozwielmożniona jest przemoc jednostek i zespołów, tam obłuda, fałsz, zdrada są jedyną normalną metodą umożliwiającą walkę i istnienie bezsilnym samolubom. Potrzeba nałogowa wypróżniania cudzych kieszeni, ze swej strony krzewi kłamstwo w polityce, w handlu, w religji. Prasa konserwatywna i klerykalna wynajęta na usługi intryganckich manewrów przeróżnych klik, kłamie do „upadłego, i wówczas gdy przemawia i wówczas nawet gdy milczy. Robi to dotąd póki gwałcona prawda na moment z siłą piorunu nie narzuci się i jak błyskawica nie oświetli mroków dławionej pocichu, bez jęków, ludzkiej ofiary.

Nie może zadziwiać, gdy przy takim kulcie perfidji i świętoszkostwa, rodzi się teorja miłośnego traktowania zbolałej duszy narodu, której nie należy cucić do czynu i ran jej jątrzyć à la Żeromski, lecz składać anielski pocałunek na jej czole. W tej „miłości ojczyzny" jest dużo owej miłości amerykańskiej, która nakazuje, korzystając z roztargnienia kochanki

tulonej w miłosnych uściskach, wyciągać z jej kieszeni portmonetkę. To też ci, którzy miłość ojczyzny w ten sposób spieniężają na brzęczącą monetę, najgłośniejszymi są obrońcami i krzykaczami tak wygodnie zbudowanej miłości i wciąż mają jej pełne usta. Ci zaś, którzy ją kupują cichą ofiarą i udręką zawsze o niej milczą. Pierwsi, jak zapewniają zawsze nieodwołalnie i stereotypowo, z piersi matki wyssali ową miłość ojczyzny, nawet wtedy gdy jak to pewna osoba humorystycznie zauważyła, pierś rachitycznej lub uciechom oddanej matki zastępował smoczek, mączka Nestla lub w najlepszym razie mamka.

Wielka szkoda, że krzyk poświęconych gęsi i gąsiorów, już nie wystarcza do zbawienia ojczyzny jak za dobrych czasów oblegania Rzymu przez Gallów.

Warto się nieco zastanowić nad naturą owej „miłości ojczyzny" lub aż „miłości ludzkości" dostępnej dla znikomej garstki wybranych, a będącej zawsze teatralną pozą i frazesem.

Miłość ojczyzny i ludzkości jest czemś bardzo złożonym. Jeśli miałaby ona być uczuciem i pojęciem przedmiotowym, to niezbędnym jej warunkiem byłaby znajomość ludzkości i ojczyzny, gdyż niepodobieństwem jest miłować to, o czym nie mamy wyobrażenia. To też przedmiotowo, realnie, ludzkość lub ojczyznę miłować mogą tylko ludzie wielostronnie rozwinięci i gruntownie wykształceni, którzy zwiedzali cały świat i obcowali z różnymi dotąd zachowanymi kulturami i pokoleniami wszystkich ras. Oczywiście, że tylko znikoma garstka ludzi na takie wyżyny ma możność się wznosić i filantropijnie się nastrajać względem nader złożonego pojęcia „ludzkość" lub „ojczyzna", która obejmuje sobą powikłany splot tradycji kulturalnych, począwszy od haniebnych, skończywszy na wzniosłych.

Jeżeli nie mówić o geszefciarskiej miłości ojczyzny, to pospolicie rodowód jej bywa inny, niż poprzednio wskazany. Zazwyczaj bywa miłość ojczyzny lub ludzkości podmiotowym wyrazem ideału wysnutego z doświadczeń, i wówczas ma się do czynienia z ukochaniem pewnych form i pewnych wartości życia, któremu towarzyszy znienawidzenie innych przeciwnych form i wartości.

Ludzkość zaś lub współczesne pokolenie rodaków nienawidzi się lub kocha o tyle o ile formy te stają na zawadzie lub sprzyjają urzeczywistnieniu wyidealizowanych form życia, w których zawarte są wszystkie tęsknoty, dumy hetmańskie, szlachetne ambicje, potrzeby, sny o potędze, zapewniające bujny rozkwit, wzbogacenie i nasycenie zbiorowego życia. Tym sposobem w wypadku np. pietystycznego kultywowania nie tych tradycji, które zapewniły narodowi rzeczywisty rozkwit, lecz tych, które mu zgotowały hańbę, poniżenia i upadek, miłość ojczyzny nierozerwalnie bywa związaną z nienawiścią i pogardą dla współczesnego pokolenia, nierozerwalnie się łączy z burzeniem namiętnym i zapalczywym ludożerczych świętości, poziomych cnót i nikczemności spełnianych in „odore sanctitatis".

Atoli my, Polacy-postępowcy, walcząc z wzbierającą falą rodzimego wstecznictwa, jednocześnie bronić się musimy przed naporem pustoszycielskiej polityki biurokracji która rujnuje często w naszym kraju zasadnicze podstawy kultury ogólno-ludzkiej dlatego jedynie, że kultura ta wyrosła na pniu polskim i sokami jego się żywi. Naród bowiem, z którym nas historja związała, naród, pośród którego nietylko „Platonowie" i „Sokratesowie" liczą się na setki ale nawet się natrafia na skondensowanych filozofów pod postacią *Platonów Sokratowiczów*, wyręcza się w życiu publicznym przy rozstrzyganiu bieżących zagadnień ludźmi, dla których „objediniat'" to nie znaczy porywać w wir wspólnych wielostronnych interesów, które są jedynym cementem politycznym, lecz bezpłodnie bić dla sportu i szerzyć postrach. Pozostawiając zaczadzonym politykom zamiłowanie do takiego noszenia wody przetakiem, nic nam innego nie pozostaje, jak wyprowadzić na arenę historyczną podźwignięty lud polski, skoro stało się oczywistym, że Polska będzie ludową, albo jej wcale nie będzie. Czy lud polski istotnie stanie się tym „rocher de bronze" o który rozbiją się wszelkie pustoszycielskie zakusy wewnętrznych i zewnętrznych wrogów narodu — „that is the question". Czy będzie tak, czy inaczej wierzyć w to trzeba i przyswoić tę zasadę należy jako dogmat, jeżeli się nie chce porzucić jedynej pozostałej logicznej podstawy do wysiłków i ofiar, na rzecz przyszłych polskich pokoleń. W bieżącym momencie lud zdradza pewne samoistne wysiłki i uzdolnienia do odrodzenia religijnego, umysłowego, gospodarczego a ziemię najmocniej trzyma w garści. Nie należy jednak zapominać, że obok tego dla bardzo łatwo zrozumiałych powodów spostrzegają się objawy krańcowego zdziczenia, zwyrodnienia, spustoszenia wszechstronnego.

Naród wartościowy i wielki ze swych klęsk i nieszczęść robi szkołę i czyściec na ziemi, będący uzdrawiającym stanem przejściowym. Upodlenie i zgnilizna stanów przodujących w Polsce, jako siejące wkoło zarazę, powinno podlegać lapisowaniu. Stany te toczone od stulecia przywilejami, których nie umiały na swe dobro a tylko na swą i cudzą zgubę użyć, z natury rzeczy, muszą dziś dla ratowania resztek, jak tonący brzytwy chwytać się w najlepszym razie krótkowzrocznego oportunizmu politycznego z dnia na dzień. Skoro naród wykolejony staje się narodem wykolejeńców, przeto z natury rzeczy, w tych stanach napotyka się największą ilość degeneratów, neurasteników, excentrycznych luzaków, skąd te wytwory przenoszą się do literatury, obyczajów, wyobrażeń, sądów doby bieżącej, wytwarzając specyficzną atmosferę uczuciową. W poezji wybujałej na takiej glebie nie usłyszymy oczywiście tonów bojowych, renesansowych, natomiast sili się ona na perlistość łzawych skarg i żalów, jękami i estetycznym łkaniem zastępuje przekleństwo i prometeuszowe groźby, kreśli obrazy estetycznego konania. Lecz ta w ostatniej dobie znamienna i modna poezja jak gdyby fabrykowana przez stare zdezelowane aktorki świadczy jedynie o upadku ciasnej i dusznej sfery, pośród, której się narodziła, i którą karmi.

Szpon.

Listy z Galicji.

VII.

Rozwiązanie parlamentu i nowe wybory. Demoralizacja wśród posłów. Echa wyborów do Rady miejskiej.

Pierwszy parlamentem ludowy umarł. Został rozwiązany. Właściwie nie było żadnej konieczności grzebania go; prawda, obstrukcja w komisji utrudniała położenie rządu, wiedziano jednak powszechnie, że w końcu gabinet uzyska prowizorjum budżetowe. Dlaczego więc właściwie rząd rozwiązał parlament?

Baron Bienerth zanadto dużo naobiecywał różnym stronnictwom i czuł, że z zobowiązań tych nie wywiąże się, wolał więc zwalić winę na opozycję, by przeprowadzić na podstawie § 14 to, co mu potrzeba i zyskać na czasie. Liczy on jeszcze na to, że nowe wybory mogą korzystniej dla niego ukształtować ilościowy stosunek stronnictw w parlamencie, niż obecnie.

Rachuby te są jednak bardzo wątpliwe. Powszechne jest mniemanie, że np. w Czechach radykali (skrajna opozycja nacjonalistyczna) zyskają więcej niż poprzednio głosów.

Parlament ludowy, mimo pewnych braków oka-

zał się jednak o wiele zdolniejszy do pracy niż poprzedni.

Właściwie ciężkie położenie finansowe, w jakim się obecnie znajduje Austrja, zawdzięczać należy nieumiejętnej polityce byłego ministra spraw zagranicznych hr. Gołuchowskiego, który nie chciał i nie umiał skorzystać z odpowiedniego momentu i przeprowadzić aneksję Bośni i Hercegowiny, pozostawiając załatwienie tej konieczności państwowej swojemu następcy. Kilkaset miljonów poszło na przygotowania wojenne. Skutkiem tego skarb państwa został wyczerpany.

Demokratyzująca się Austrja potrzebuje gwałtownie reform ekonomiczno socjalnych i kulturalnych, wymagających wielkich wydatków. Demagogja niektórych stronnictw, zwłaszcza chłopskich, nie pozwala na uchwalanie nowych, albo podwyższanie starych podatków. Skutkiem tego rząd w trudnym znajduje się położeniu.

Mimo to jednak, gdyby na czele rządu stał człowiek wybitny, posiadający rozległy program reform, człowiek, budzący zaufanie, to prawdopodobnie parlament zdobyłby się na ofiarę i zgodziłby się na większe jeszcze podatki. Takim jednak człowiekiem baron Bienerth nie jest. Jest on tylko zręcznym dworakiem, gotowym zrobić wszystko, aby się przypodobać sferom decydującym. W żadnej sprawie nie ma on jasnego programu. Jest to człowiek bez myśli politycznej.

Poprzednik jego Beck był człowiekiem wybitnym, ale musiał odejść skutkiem jakiegoś konfliktu z następcą tronu.

Minister Głąbiński znalazł się w śmiesznej pozycji. Zawsze występował przeciwko rządowi na podstawie § 14, zawsze wypowiadał się za gabinetem parlamentarnym. Zdawałoby się więc, że teraz powinien podać się do dymisji, jako mąż zaufania Koła polskiego. Tymczasem zarówno demokracja narodowa, jak i on pragnie pozostać w gabinecie.

Większość Koła jest właściwie za jego ustąpieniem, nie umiała jednak czy nie chciała nakłonić go do swojej woli.

Koło polskie jest więc w dziwnym położeniu. Potępia ono rząd za rozwiązanie parlamentu, zarazem jednak nie zwalcza go na serjo, gdyż nie wyraziło braku zaufania ministrowi Głąbińskiemu, który jest jego członkiem.

Słowo Polskie, które reklamowało barona Bienertha, od chwili, kiedy p. Głąbiński został ministrem, obecnie broni rządu.

W społeczeństwie rozwiniętym politycznie, zachowanie się demokracji narodowej w poprzednim (podczas upadku ministra Bilińskiego) i obecnym przesileniu ministerjalnym — skompromitowałoby ją bardzo. W naszym społeczeństwie działacze polityczni nie kompromitują się, gdyż panowanie frazesu „narodowego" jest bezgraniczne.

Nowe wybory odbędą się w czerwcu. Jaki będzie ich rezultat w Galicji, trudno przewidzieć...

Być może jednak, że konserwatyści zyskają pewną ilość mandatów. Niepowodzenie Koła polskiego popchnąć może żywioły niezdecydowane w objęcia konserwatystów.

Socjaliści prawdopodobnie utrzymają dotychczasową ilość mandatów. Być może, że w Galicji Zachodniej zyskają jeden, a w Galicji Wschodniej stracą.

W obecnych wyborach Pol. Str. Postępowe wystawi swoich kandydatów. Wejście chociażby 2 albo 3 członków tego nowego stronnictwa do parlamentu byłoby bardzo pożądane, gdyż mogliby oni wpłynąć na demokrację bezprzymiotnikową w kierunku postępowym i okazaliby niezawodnie dużo inicjatywy.

Skandaliczne sprawy kilku członków Koła polskiego (ks. Szpondra, Szajera, Paducha, Fiedlera i Więcka) osłabiły ogromnie powagę tego klubu.

Odkrycia p. Mojżesza Kanarka, skromnego i długoletniego pracownika w Stronnictwie ludowym, prezesa tarnobrzeskiego komitetu stronnictwa, dotyczące niektórych z wymienionych wyżej posłów, są bardzo znamienne. Paduch musiał się przyznać do winy, dwaj jego koledzy chociaż tego jeszcze nie zrobili, już się jednak skompromitowali podczas sądu, ujawniły się bowiem brudne ich konszachty z szynkarzami, którym za pieniądze obiecywali wyrabiać koncesje.

Pan Kanarek podobno nie powiedział jeszcze wszystkiego, co wie o tych posłach.

Całe zachowanie się demokracji narodowej, w czasach ostatnich zwłaszcza, dowodzi, że stronnictwo to nie ma żadnych zasad i że tworzy tylko organizację, celem której jest zdobywanie różnego rodzaju łupów za pomocą wpływów politycznych.

Nowe wybory będą w każdym razie ciekawym przeglądem sił.

Demokracja narodowa czuje, że za dużo zawiniła i że może przegrać kampanję, dlatego też w organie swoim wypowiada pogląd, że konieczną jest konsolidacja stronnictw narodowych, że należy zapomnieć o urazach partyjnych, i.t. p.

Rezultat wyborów dużo zależyć będzie od zachowania się namiestnika. Dotychczas dr. Bobrzyński zachowywał się w ten sposób, że można mieć nadzieję, że wybory będą bezstronne. Obecność jednak w rządzie d-ra Głąbińskiego może spowodować nacisk Wiednia na namiestnictwo, aby popierało ono demokratów narodowych.

Ostateczny rezultat wyborów do Rady miejskiej nie jest jeszcze znany, zdaje się jednak, że redaktor Laskownicki, jeden z najwybitniejszych radnych, członek klubu reformy, oraz radny Garczyński, należący do tego samego klubu — nie przejdą. Klub reformy zwróci się zapewne do Wiednia ze skargą na machinację wyborczą.

W przeszłym tygodniu radny Śliwiński wypowiedział znamienną mowę na posiedzeniu Rady miejskiej, w której poddał ostrej krytyce demagogję najemnych dziennikarzy nacjonalistycznych oraz nadużycia wyborcze.

„Konstatuję publicznie, mówił p. Śliwiński, że według mego przekonania (jest on członkiem komisji czystości wyborów) we Lwowie jest 18 do 20 tysięcy wyborców; jeżeli spis ich zredukowano do 15 tysięcy, a z tych nie doręczono legitymacji 3 tysiącom kilkuset, to musimy sobie powiedzieć, że prawie połowa obywateli była pozbawiona fizycznej możliwości wykonywania prawa obywatelskiego". P. Śliwiński zwrócił też uwagę na brak w magistracie „spisu wyborców obywateli, którym służy prawo wyborcze". Następnie mówca przypomniał, jak przed laty zasłużeni parlamentarzyści, jak nieboszczyk Romanowicz i obecny vice prezydent miasta Rutowski nie mogli się dostać do Rady miejskiej, i jak dopiero przy jego staraniach, który był wówczas zupełnie młodym człowiekiem — weszli do Rady.

P. Śliwiński poruszył jeszcze inne charakterystyczne sprawy, które dla braku miejsca pomijam.

Ludwik Kulczycki.

Z kuźni bluźnierstw.

Aforyzmy o Czynie.

VII.

Sen o Czynie. P. K. Srokowski napisał raz bajkę o mędrcu, który znalazłszy cudowne jabłko, położył je obok siebie i zasnął, we śnie zaś otoczony przez tłumy, proszące o zbawienie, napróżno starał

się wyciągnąć rękę, nie mógł uchwycić cudownego jabłka. Ta bajka przychodzi mi na myśl, gdy czytam „Dzieje jednego pocisku". Pocisk wędruje z rąk do rąk, każdy marzy o tym, aby go rzucić, nie może jednak dojść do tego. Jest to coś, co toczy się, jak fascynująca kula, ludzie biegną za nią, wyciągają się dziesiątki rąk — kula mija. Symbol to głęboko poetycki, więc wieloznaczny: jest tu zawarta i apoteoza i mimowolna może krytyka, jest tu i brak sposobności do Czynu, i jakiś w nim niedowład, zasadnicza beznadziejność.

A n a l i z a C z y n u. Nietyle w namyśle, poprzedzającym czyn, odbywa się jego analiza, ile raczej w czynie samym. Skoro tylko dotkniemy się materji czynu, chwyta go w swoje tryby jakaś maszyna, popycha coraz dalej i wyciska na nim swe piętno. Czyn staje się niepodobnym do zamiaru. Na tym polega jego urok i zarazem groza. Guyau najtrafniej określił go, jako „ryzyko metafizyczne". Do głosu przychodzi milcząca dotąd i nieznana autonomja dalszych ogniw Czynu. I tak np. dziwna symbioza spiskowca z prowokatorem. Pokazało się, że są oni dwiema uzupełniającymi się koniecznie częściami spisku jako procesu psychologicznego. Podobnie też człowiek nie może długo dzierżyć w rękach broni, bo wnet zawisa nad nim jej odrębna psychologja. Młot robotnika może w walce, jako epizodzie pracy wystąpić także jako broń i skruszyć kajdany. Ale przerobiony na koncerz, staje się maszyną odrębną, wytwarza atmosferę rycersko-militarną — a natura każdej maszyny jest wiadoma: domaga się ona żeru, produkcji.

C z y n i r o b o t a. To też ten czyn w praktyce rychło przemienia się w „robotę" i tak też — z dumą i lubością, co jest bardzo znamienne! — bywa nazywany. Zabić kogoś znaczy „zrobić go". W noweli takiego fachowego robotnika od Czynu p. t. „Na robocie bojowej" opisane są z sienkiewiczowskim zapałem te zrośnięcia człowieka z narzędziami wojennymi. „Teraz oddałem się tej trąbce cały. Jej wola — stała się moją. Stałem się — jej woli narzędziem. Trąbka dźwięczała ciągle... a wśród jej grania: — Cel! pal! — padła komenda Szymona, krótka, zimna, stalowa". Potym poucza naczelnik o używaniu rewolweru i przykazuje towarzyszom: „Gdy przywykną we dnie, niech się ćwiczą po ciemku, w nocy bronią władać. To pewność ruchów daje, to bojowca z bronią łączy — zlewa. Bojowiec powinien tak bronią władać, jak członkami własnego ciała, jak ręką. Ćwiczenie jest tu mozolne i długie. Ale kto życie sprawie oddaje rozumnie i szczerze... ten zżymać się ani lenić się nie będzie".

Z b ł ą k a n i. Rozgałęziona technika każdego czynu wymaga dziś epizodów niemiłych. Czyszczenie kanałów jest z pewnością konieczne. Obrona życia także. Operacja chirurgiczna, sekcje zwłok, opatrywanie chorych są to zajęcia potrzebne, które tylko wielka zręczność i precyzja może znośnymi uczynić. Bywają konieczności twarde, roboty beznadziejne, takie bez żadnego „ryzyka metafizycznego" takie jak wyczerpywanie wody z tonącego powoli okrętu. Można więc nawet uznać potrzebę takiego ćwiczenia jak to, żeby „bezwiednie bezpiecznik usuwać tuż przed strzałem i natychmiast po strzałach znów go zamykać". Ale to wszystko niech będzie poza i pod moją duszą, niech się nie mnożą, lecz skracają te techniczne etapy, niech czuwa nad nimi wytężone oko i uwaga, lecz serca z tym nie złączę, należy się im tylko milczenie i pogarda jak tym, którzy do ich użycia zmusili. Są to instrumenta do operacji nie do muzyki. A pogarda i milczenie jak wiadomo zaostrzają uwagę — przy operacji...

Wśród rozerwanych etapów tej „roboty" błąkają się ludzie Struga. Ucieczka przed szpiegiem, więzienie, bibuła, zawsze w drodze, zdrada, kara za zdradę — czy w każdym z tych momentów jest jeszcze coś z celu? Czy jest to istotnie jeszcze ta sama droga? a jeżeli ta sama, czy była trafną? A jednak musi się już iść od konsekwencji do konsekwencji. O Boże, coś się tu zgubiło, uwięzła w ciernistym gąszczu fascynująca kula i nie oświeca już drogi. I teraz jedynym tajnym marzeniem tych ludzi jest: raz wreszcie wyspać się, serdecznie się wyspać...

B r a k m u k o m ó r k i. Jeden z Fraków twierdzi: trzeba odbudować komórkę wojskową potencjalnego państwa polskiego już choćby dlatego, że bez niej niemożliwy jest rozwój innych komórek, wszystkie bowiem są w związku ze sobą.

Jako niesforny literat, posługujący się nieraz we własnym zakresie szwindlami poetyckimi zamiast dowodów; nie mogę tu przywdziać wyniosłej miny naukowca i rzec, to jest sobie stara analogja organistyczna. Mam tylko wrażenie, że ten lekarz zaszczepiający nam w celach hygienicznych nową komórkę, czy też bodaj, jak mówi, jej surogat, jest trochę pedantem. Jesteśmy uparci, nie umiemy czy nie chcemy pływać tylko jedną ręką, trzeba nam całego komfortu europejskiego — od neoromantyzmu do dreadnoughtów.

Karol Irzykowski.

BADANIA NAUKOWE

Zagadnienia postępu.

(Z powodu książki p. T. Filipowicza[1]).

Stronnictwa przyszłości, jakimi są w każdym kraju partje socjalistyczne, muszą i powinny stawiać prognozy tego przyszłego ustroju, badać jego konieczność i ziszczalność. Toruje to niewątpliwie drogi dla myśli socjologicznej i ukonkretnia cele polityki. Socjalizm zadawalał się przecież dotąd udowodnianiem konieczności, z jaką urzeczywistniać się muszą wskazania Marxa i realizować tendencje historycznego rozwoju. Do twardej zależności od warunków ściśle ekonomicznych dodawano wynikające z nich jakoby ideologiczne wartości, rozszerzano pojęcie historycznego materjalizmu, rysując z mniejszą, czy większą ostrożnością obraz świetlanej przyszłości. Nietrudno było wyznawcom innych, a zwłaszcza postępowych światopoglądów, udowodnić, że konieczność dziejowa skłania się raczej do demokratycznego indywidualizmu, a ideały kolektywnej gospodarki pozostaną nadal w sferze utopji, z której reformy społeczne zużytkują i w życie wprowadzą tylko te postulaty, które urzeczywistnić się dadzą pod panowaniem systemu własności prywatnej.

Czyni to np. Bourguin (Systemy socjalistyczne), w pięknym dziele, które przed kilku miesiącami omawiałam na tym miejscu.

P. Tytus Filipowicz podejmuje bodaj pierwszą próbę udowodnienia, że ustrój socjalistyczny oblecze się w ciało, pomimo, że rozwój stosunków, pozostawionych samym sobie, doprowadzić by mógł do innej mety, a czyni to, nie przecząc historjozofji Marxa, ale właśnie opierając się na niej, zaznaczywszy słusznie, że „żadna teorja naukowa nie może pozostawać w miejscu na stopniu, na jakim pozostawił ją twórca: musi albo tonąć w zapomnieniu, albo, chcąc być żywą i silną, starać się o wciąż nowe uzupełnienia" (s. IX). W nauce Marxa (Kapitał t. I) poza teorjami koncen-

[1]) Tytus Filipowicz: „Zagadnienia postępu" Kraków. Spółka nakł. „Książka". 1911.

tracji kapitałów, kryzysów przemysłowych, materjalizmu dziejowego, podnosi zaznaczone wprawdzie tylko pierwiastki psychologiczne („*oburzenie i bunt* stale powiększającej się klasy robotniczej, wyszkolonej pod wpływem mechanizmu kapitalistycznego sposobu produkcji, zjednoczonej i zorganizowanej". (s. 69).

Taktyka i propaganda socjalistyczna zużytkowują wprawdzie stale te czynniki, budząc antagonizm i nienawiść wobec klas innych, a podniecając solidarność robotniczą, dzięki której oburzenie i bunt stać się mogą siłą płodną, nietylko niszczącą. Autor nasz zużytkowuje je teoretycznie, ukazując jednocześnie możność włączania do socjologicznych systemów pierwiastków psychicznych, w miarę jak one nabierać będą zbiorowej siły. Pierwiastki te płyną dziś z dwojakiego źródła, co może niedostatecznie podkreśla autor. Zgadzamy się z nim, że wola, chęć i dążenie do umiłowanego i wiadomego ideału niemniej silnie działać tu mogą i będą od rozwoju historycznego, który wciąż pozostaje szematem i niewiadomą. Klasy przyszłości muszą jednak nietylko burzyć, ale i budować, a nawet przedewszytkiem budować i owe pierwiastki twórcze, rozsadzające ustrój dzisiejszy samym faktem swojego istnienia stawać się będą coraz większą potęgą dodatnią.

Uwydatniłam na pierwszym miejscu podkład uczuciowy światopoglądu autora, który go się bynajmniej nie wyrzeka, ale przeciwnie, uwydatnia jego znaczenie w ewolucji dziejowej. Bo też największą bodaj zaletą pięknej pracy p. Filipowicza jest *obalenie* rzekomej konieczności materjalizmu dziejowego. Nie waham się tak nazwać jego dowodzenia, choć opiera się tylko na rzeczowej, bardzo poważnymi argumentami popartej, krytyce. Uwydatnienie jednak roli, jaką samowiedza i zorganizowane dążenie do ideału w procesie rozwojowym odgrywa, postawienie ich na miejsce owej, tyle sporów i zarzutów wywołującej konieczności, powinno na nowe tory sprowadzić propagandę socjalistyczną, zasilając ją nowym, silnym, a łatwo do mas przemawiającym szeregiem dowodów.

W dziełku p. F., a nazywamy je dziełkiem tylko z powodu księgarskich rozmiarów, jest bowiem istotnym dziełem ze względu na opanowany materjał, erudycję autora, samodzielne poglądy i umiejętność ścisłego naukowego rozumowania, spotykamy też dużo innych samodzielnych i po raz pierwszy wypowiadanych poglądów. A zatym autor w całej książce przeprowadza paralelę między woluntarystycznym a socjalistycznym poglądem na świat. Za rezultat pierwszego uważa pozytywizm, najpoważniejszy, jak przyznaje, prąd ideowy XIX stulecia, wynikiem drugiego jest Marxyzm i potężny prąd nietylko naukowy, ale i polityczno-społeczny, jaki wywołał. Źródła obu znajduje w pracach St. Simona, uwydatnia pokrewieństwo jego nauki z teorją Aug. Comte'a i zależność obu od ruchu filozoficznego encyklopedystów i fizjokratów, jakkolwiek obie te szkoły nie miały przekazać następcom poglądów swych na rozwój i postęp.

Bardzo piękne wywody poświęca autor różnicy między rozwojem, który może być nawet degeneracją, a nie przestaje być szeregiem zmian w danych warunkach koniecznych, a postępem, który w myśl pewnych ideałów, czy też pewnego sprawdzianu wartości mas ludzkich będzie pochodem naprzód. Podnieść również należy wytłómaczenie, czym były prawa przyrody w pojęciu szkół liberalnych na przełomie XVIII i XIX stulecia, gdyż nazwa ich daje dotąd wielokroć pobudkę do mylnych interpretacji. F. tłómaczy je jako z góry ustanowione zasady moralności społecznej. Interpretacja ta pozwala np. pogodzić stanowisko Ad. Smitha, jako autora teorji „Uczuć moralnych" i „Bogactwa narodów". Ona również uwydatnia pogląd na zjawiska gospodarcze ekonomisty naszego Fryderyka Skarbka. Natomiast trudno się zgodzić z twierdzeniem, jakoby różnicą między prawem przyrody, a przyrodniczym pojmowaniem rozwoju cywilizacji ludzkiej było oddziaływanie na szybkość, z jaką się dokonywają procesy ostatniej (s. 35 i 36). Hodowcy zwierząt potrafią oddziaływać na szybkość ich dojrzewania i wzrostu, cała sztuka ogrodnicza polega na zmianie tempa przyrody w produkowaniu owoców, kwiatów czy warzyw. Świadoma wola ludzka zatrzymuje lub przyspiesza rozwój ludności i t. p.

Pod piórem przekonanego Marxisty wielkiego nabiera znaczenia przeprowadzenie filjacji między socjalizmem naukowym a utopijnym, jakkolwiek było to już niejednokrotnie udowodnionym, a Menger w swoim „Prawie do całkowitego produktu pracy", niezbicie wykazał zależność K. Marxa od socjalistów angielskich i francuskich. Filipowicz stwierdza, że zarówno krytykę dzisiejszego ustroju, jak i pomysł uspołecznienia środków produkcji głosi socjalizm, już poczynając od Utopji Morusa. Pokrewieństwo socjalizmu utopijnego z naukowym ani w przesłankach, ani we wskazywaniu środków rozwiązania kwestji zaprzeczyć się nie daje. Różnica nie jest jakościową. Natomiast socjalizm naukowy oparł się na współczesnej wiedzy w społeczeństwie, pogłębił ją, odnalazł prawa społecznego rozwoju kapitalistycznej produkcji i zgodnie z nimi ustalił wytyczne swej polityki i taktyki. Ma więc socjalizm naukowy bezsprzeczną nad utopijnym wyższość. „Praca Marxa polegała na stosowaniu metody naukowej do badań społecznych i używaniu wyników, otrzymanych jako czynnika szerokiej i intensywnej działalności politycznej". Dzięki temu, że był on jednocześnie uczonym i politykiem, że za przedmiot swej nauki przyjął zjawiska ruchu społecznego, „pchnął tak silnie naprzód politykę i ruch społeczny, dzięki oparciu ich na nowo ustanowionych danych nauki o zjawiskach społecznych". (s. 137). Warto tu zaznaczyć, że autor przyznaje, że przed Marxem byli marxiści, ale po Marxie był tylko jeden Sydney Webb.

Zdaniem moim, autor powinien tu był nacisk położyć na najważniejszą polityczną i zgodną z rozwojem zjawisk społecznych koncepcję Marxa międzynarodowość proletarjatu i socjalizmu, jako ruchu i nauki.

Natomiast z najwyższym uznaniem podnoszę te ustępy, które udowadniają, że socjalizm opiera się na szeregu koncepcji idealistycznych, że jest i musi być w coraz wyższym stopniu ruchem etycznym, pokrewnym i zgodnym z ideałami humanitaryzmu.

Postawienie i udowodnienie tej tezy oddziałać powinno na kierunek propagandy socjalistycznej u nas, w której nie kładzie się nacisku na rozwój charakterów, poczucia odpowiedzialności, na zgodność życia prywatnego z głoszonymi ideałami, gdzie takie ruchy etyczne, jak zwalczanie alkoholizmu, traktuje się jako snobizm i przypina niekiedy nakształt kwiatka przy majowych pochodach. Najlepszym dowodem znaczenia ideałów, a zatym idealnie nastrojonych osobników jest ofiarność już nie jednostek ale zastępów, które idei w naszych zwłaszcza warunkach przynoszą w dani młode życie.. Te zbiorowe całopalenia toż to przekonywający dowód, że nie rozwój historyczny, ale zapał i ofiarność zapalają stosy, na których spłonąć ma ustrój dzisiejszy.

O tej konieczności jego przeobrażenia, przekonani jesteśmy wszyscy, którzy wierzymy w postęp ludzkości. Nie zgodziłabym się jednak z autorem, że ta ludzkość ma dziś przed sobą tylko dwie drogi rozwoju: socjalizm, który posunie masy na wyższy stopień cywilizacji, lub feudalizm kapitalistyczny, który podzieli ludzkość na uprzywilejowaną warstwę ludzi kulturalnych, a nawet posuwających kulturę naprzód i proletarjat, zdegenerowany i obniżający się stale w swojej wartości jako materjał ludzki, że przepaść między tymi dwiema warstwami społecznymi może się jeszcze pogłębiać. Hypoteza druga, stawiana przez autora jako objek-

tywna, wynikająca z pewnego szeregu faktów możebność, jest przy dzisiejszym prądzie demokratyzacji kultury i podwyżki stopy życiowej niemożebną. Natomiast możebnym jest dalsze demokratyzowanie tej kultury, przy którym wprowadzane będą stopniowo w życie najdalej idące reformy społeczne, choć nie zniknie własność prywatna, jako podstawa ustroju ekokomicznego. Taką hypotezę stawia Bourguin, przewidują to również solidaryści. Sądzę, że przewidywać można, iż w takim ustroju społecznym olbrzymie dzisiejsze fortuny prywatne zniknąć by musiały, gdyż ich twórcy nie mieliby sposobności do dziś uprawianego wyzysku pracy, wobec podniesienia się kulturalnego mas zorganizowanych, któreby się wyzyskiwać nie dały i wobec rozwoju przedsiębiorstw kooperatywnych, miejskich i państwowych, które dziś już przybierają wielkie rozmiary.

Zwrócić jeszcze należy uwagę na szeroko przez autora omawiane pojęcie rewolucji, któ'a ukazuje się bądź jako krwawe widmo, bądź jako pokojowe przeobrażenie, zależne od ustroju politycznego kraju i przysługujących ludności praw konstytucyjnych. Ustępy, (Rozd. VI) poświęcone tej kwestji nie wypowiadają poglądów nowych, ale są bardzo ciekawe i pięknie skreślone.

Wogóle praca p. Filipowicza stanowi wielki postęp w rozwoju naszej myśli socjalistycznej, a mogłaby być niewątpliwą ozdobą literatury przedmiotu w każdym języku jako oryginalny, śmiały i ściśle skonstruowany przyczynek do wyjaśnienia zagadnień postępu i socjalizmu.

D-r Z. Daszyńska-Golińska.

KRYTYKA.

„Omylona nieomylność". Na pożytek ciemnym i widomym opracował Legion. 4 rysunki w tekście. Warszawa, 1911, Skład główny w księgarni Powszechnej, Marszałkowska 139. Cena 40 kop.

Okres emancypacji myśli, obecnie przez nas przeżywany, oprócz wielu dzieł i wydawnictw poważnych, powołał też do życia pisma ulotne, druki, broszury bojowe, pełniące rolę tyralierów w kampanji o Myśl Wolną.

Do tej kategorji należy i omawiana tu książka. Na 74 stron. sporego formatu czytelnik zdumiony, oszołomiony, rozbawiony, znajdzie przebieg i różne szczegóły olbrzymiej, epokowej sprawy Leo Taxila (Gabryel Jogand-Pagés). Ten gienjalny mistyfikator, pod wpływem bulli Leona XIII-go *Humanum genus*, wymierzonej przeciwko wolnomularstwu i stwierdzającej istnienie djabła na ziemi oraz jego czynny udział w „lożach" — począł czynić sensacyjne rewelacje na temat intryg masońskich, wobec których odkrycia p. Mienszykowa w gaz. *Nowoje Wremia* wyglądają, jak blady i nieudolny plagiat. W ciągu 12 lat wodził Leo Taxil za nos cały świat kościelny, każąc wierzyć niesłychanym bredniom, odbijanym w setkach tysięcy egzemplarzy i tłómaczonym na wszystkie niemal języki. Sam „nieomylny" papież Leon XIII czytywał je gorliwie i na specjalnym posłuchaniu udzielił oszustowi swego błogosławieństwa. Prasa katolicka całego świata trąbiła o przerażających odkryciach Taxila na temat rządów szatana, w Trydencie zwołano wielki kongres antymasoński z udziałem wielu biskupów, a tymczasem masoni śmieli się w kułak, czekając na koniec mistyfikacji, najśmielszej i największej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek na ziemi czyniono... Powodem jej bezpośrednim była, jak już wiadomo, bulla „*Humanum ganus*" z d. 20 kwietnia 1884 r.

W „nieomylnym" tym orędziu nazywa papież masonów ludźmi, podległymi państwu Szatana i mocom piekielnym... *Roma locuta*: po tym urzędownym stwierdzeniu istnienia filji piekielnej na powierzchni ziemi, należało już tylko czekać na szczegóły mniej lub więcej drastyczne. Dostarczył ich w obfitości Leo Taxil, kierując się hasłem: „Niewyczerpaną jest głupota ludzka, czyli *mundus vult decipi...*"

W kapitalnym swym dziele p. t. *Les frères trois point* twierdzi autor, wślad za Leonem XIII-ym, że „areopag i głowa wolnomularstwa są pod wpływem złego ducha, Lucypera i Eblisa..."

W innym „dziele" czytamy: „mason... przywołuje djabła za pomocą zaklęć ułożonych przez pewnego księdza-odstępcę i oddaje mu pokłon w osobie Bafometa, czarta z koźlimi nogami, piersią kobiety i skrzydłami nietoperza".

Za tymi rewelacjami poszły inne, coraz bezczelniejsze, coraz bardziej nieprawdopodobne, a mimo to wydawane z biskupim „aprobatur" i chwalone gorliwie przez pisma klerykalne całego świata, nie wyłączając poważnych organów centrum niemieckiego, jak *Germania* i *Köln. Volksztg...* Leo Taxil uderza wreszcie w najsensacyjniejszą strunę: zmyśla pod nazwą *palladyzmu* kult djabła w lożach damskich i mieszanych, przyczym wymienia niejaką Zofję Walder, prababkę antychrysta i wielką mistrzynię „palladyzmu" (*sic*). Wspólnie z biskupem Fava Taxil ogłasza w książce p. t. *L'existence des loges des femmes*, że 30 miljonów wolnomularzy i $2^1/_2$ miljona palladystek pracuje stale nad obaleniem obecnych monarchji.

Natchniony tym dziełem arcybiskup Meurin wydał w r. 1892 broszurę p. t. *La Franche Maçonnerie Synagogue de Satan*, gdzie takie znajdujemy zdanie: „Możemy niezbicie wnioskować, że wolnomularstwo pozostaje pod głównym kierunkiem papieża z Charlestownu. Charlestown jest prowizorycznym Rzymem synagogi szatana... Absolutnie nie wątpimy, że szatan ma tutaj swego zastępcę i adherentom swoim osobiście się ukazuje i informacji udziela".

Taxil znalazł niebawem epigonów. D-r Bataille, niemniej zdolny mistyfikator, wywiódł jak na dłoni, że Rzym papieski został zdobyty w r. 1870 przy osobistej pomocy szatana. Okazało się nadto, że papież masoński w Charlestown zowie się Albert Pike i połączony jest telefonem bez drutu (*sic!*) ze wszystkimi oddziałami palladyzmu (Rzym, Berlin, Waszyngton, Montevideo, Neapol, Kalkuta)...

Dowiedziano się również, że z *wiedzą władz angielskich* mieści się w skałach Gibraltaru pracownia, w której około dwustu szatanów i wolnomularzy pracuje stale nad hodowlą najstraszniejszych bakterji, wyrobem trucizn i. t. d. Ci osobliwi chemicy mówią ze sobą „volapükiem" (*esperanto?*) ale nie gardzą i francuszczyzną...

Puszczona w ruch przez Taxila fantazja księży i zakonników płodzić poczęła coraz dziwaczniejsze pomysły. Rozwinęła się istna orgja djabelstwa, której zaledwie słabe echa doszły do naszego kraju...

Wykryto, że piekło ma swoich niejako ambasadorów w poszczególnych państwach, a więc np. we Francji rządzi *Balfegor* w Anglji *Mammon*, we Włoszech *Belial*, w Rosji *Rimmon*, w Hiszpanji *Taumuz*, w Turcji *Hutgin*, w Szwajcarji *Martinet* i t. d.

Wzbijając dokoła siebie taką oto kurzawę majaczeń i dywagacji, Leo Taxil snuł dalej nieprawdopodobną swoją epopeję. Wszedł w stosunki z niejaką Dianą Vaughan, wybitną palladystką, która to fikcyjna osobistość, pod błogosławieństwem biskupów i papieży, zdradziła intymne sekrety lóż piekielnych... Pisma Taxila szły w setkach tysięcy egzemplarzy; wrzawa rosła.

Wreszcie po 12 latach tej płodnej pracy Leo Taxil postanowił położyć kres własnej mistyfikacji. D. 19 kw. 1897 zwołał wiec w Paryżu, przy bul. St. Germain N. 184. Porządek dzienny obejmował dwa odczyty: referat Taxila p. t. *12 lat pod sztandarem Kościoła* i odczyt tajemniczej miss Vaughan p. t. *Palladyzm pokonany*. Zapowiedziano nadto obrazy świetlne: papiery familijne miss Vaughan, fotografja panny Pike (córki papieża masońskiego) umizgającej się do Bafometa, djabeł Asmodeusz wręczający djadem żonie swojej *miss* Vaughan, papiery legitymacyjne djabła Bitru; papież Pike w wielkim ornacie i t. d.

Tłumy cisnęły się do sali owego pamiętnego dnia; czekała je nielada niespodzianka. Ani miss Vaughan ani obrazów świetlnych nie było, natomiast Leo Taxil w długiej mowie, z doskonałą zimną krwią i bezczelnym cynizmem wyłożył punkt po punkcie wszystkie fazy swojej mistyfikacji, i zażądał w końcu należnego sobie tytułu *króla kawalarzy* (*roi des fumistes*)...

Była to mowa jedyna w swoim rodzaju, przerywana wrzaskami wściekłości klerykałów i gromem oklasków ze strony obecnych na sali wolnych myślicieli .. Piorunem rozniosła się wieść po świecie, i wybuch iście homerycznego śmiechu zakończył tę niefortunną imprezę, z której Kościół wyniósł mocno zachwiany autorytet.

L. G.

Roman Jaworski: **Historje Manjaków.** Spółka nakładowa „Książka". Kraków.

Obecnie zachodzi u nas, w Polsce, bankructwo i usychanie wielu ideologji, na których miejscu staje żywiołowość. Jest to reakcja przeciw poprzedniemu okresowi pełnemu tendencji i ideałów ascetycznych. Okres poprzedni oddalił umysły od przyrody, dokąd dziś one wracają. Pod wpływem nawoływań tendencyjnych wyrobił się pewien typ człowieka obłudnego, przeciwko któremu zwraca się dziś życie. Najlepsze rzeczy z lat poprzednich nie wolne są—jeśli je oceniać ze stanowiska dzisiejszej szczerości — od zakapturzonego fałszu lub ostrożnego przemilczania.

W dobrych zresztą zamiarach za często mówiono: obowiązek — zbyt rzadko: szczęście. Doszło do tego, że idealizowano chroniczne cierpienie jako zjawisko wyższego porządku. Epoka poprzednia nosi znamię rezygnacji, pachnie kadzidłem, a radości boi się jak nadużycia. W każdym popędzie indywiduum do rozrostu i bujności upatrywano niebezpieczeństwo. Dziś odnajduje artysta wodę, ogień, ziemię i ciało. Staje w szeregach nie ascetyków, lecz grzeszników i poszukiwaczy. Ten błogi powrót do przyrody, pogaństwa i indywiduum, święcą dziś niektórzy artyści radosnym upojeniem zmysłów, które dorosłe dzieci, bawiące się w krytykę, nazywają erotyzmem patologicznym. Polak uczuł ze zdumieniem, że ma krew w żyłach — dlatego właśnie, że zbyt długo usiłowano go przekonać, że jest sarkofagiem, na którego dnie leży wyszyta łzawymi perełkami sentencja moralna.

Rozwój duszy narodowej odbywać się może tylko drogą wybuchów szczerości. Pokolenie młodsze uczuło nagle z siłą żywiołową, że potrzebną mu jest nowa obfita fala szczerości, ponieważ dawna nie odpowiada już i nie wystarcza jego wymaganiom moralnym i tym zadaniom, które ma do spełnienia.

Pisarzem nawskroś dzisiejszym jest autor „Historji Manjaków". Aby powstał pisarz tego rodzaju, trzeba, aby jednostka zdobyła się na śmiałość—w epoce poprzedniej nazwanoby to buntem bezczelnym lub szaleństwem! — zajęcia się wyłącznie sobą, swą klęską i szczęściem, gorzką tęsknotą do piękna, którego nie znajduje na ziemi, wyrafinowanym lubowaniem się brzydotą i napawaniem marzeniem, które się nie ziszcza „a w tym cała jego siła i prawdziwość". Uderza w mur gorączkowa, wprost płomienna szczerość i tęga odraza, z jaką uderza w zjawiska ohydy życiowej, osłaniane dotąd łagodnymi plastrami wyrozumiałości. Szyderstwa złośliwe i gryzące, żrąca nuda, upojenie do zawrotu głowy brzydotą, okropne zdumienia jakoby wobec nagle, przeraźliwie odsłaniającej się poczwarności — oto atmosfera utworów Jaworskiego. Rozległy sabat, który wyzionęła z siebie dzisiejszość, wyzwolona już nieco z powijaków. Autor należy do rzędu tych ludzi rzetelnych, którzy się nie cofają wobec grozy. Jego wzrok ma ostrość wizji malarskich. Jego marzenia i obrazy mają wdzięk i charakter nastrojów bearosleyowskich, gdzie wytworne, ciche rodzaje piękna kojarzą się z potworną brzydotą ludzkich przerostów, zaników, zgarbień i wklęśnięć. Jedne jego postaci żyją pozorami, głupstwem, dobrobytem, wegetują szczęśliwie w kłamstwie i lenistwie. Inne pożera niezaspokojona tęsknota, gna i pędzi wykrzywiona potwornie wyobraźnia w stronę cudactwa i groteski, jakoby w dziedzinę odpocznienia i ucieczki przed płaskim szablonem normalności. I te, ginąc, zachowują w duszy jakoby nierozwinięty pierwiastek szlachetniejszej piękności. Jaworski ma zmysł do napięć wytężonych uczucia, do majaczeń gorączkowych, do objawień rzadkich. Jego sny wioną zapachem i kolorytem snów rzeczywistych. Są to leje wirujące, wciągające wyobraźnię w zakres objawień innego, niż na trzeźwej jawie, porządku. Jego beznadziejny smutek (jest to zbytek, na który nie może się zdobyć pisarz tendencyjny!) odpycha precz wszelkie półśrodki, paljatywy i leki znachorskie. I kiedy po widzeniach potwornych i żrących sarkazmach, spotyka czytelnik oazę tkliwej czułości względem dziecka („Medi"), to czuje, że ta uczuciowość ma nieskończenie wyższą cenę, niż zwykłe sentymentalne rozełzawienie.

Słowem, w Jaw. widać posuniętą bardzo głęboko szczerość wylewów osobistych jednostki, która wobec zwolnienia u nas inkwizycji tendencyjnej, tratującej dotąd butami wszelką subtelniejszą roślinę, buchnęła gorączkowym pożarem marzenia o szczęściu.

Leon Choromański.

Ruś. Czasopismo, poświęcone dziejom i kulturze Ukrainy, Podola i Rusi Czerwonej.

Od lat paru badania historyczne dziejów naszych pogłębiają się i powstaje szereg wydawnictw, mających na celu uprzystępnić znajomość przeszłości naszej. Historjografja nasza ostatnimi czasy zrobiła ogromne postępy i specjalizując się, stwarza wciąż nowe placówki, skupiając swe badania koło pewnych centrów i tematów.

Przed nami leży pierwszy zeszyt kwartalnika historycznego, poświęconego dziejom i kulturze Ukrainy, Podola i Rusi Czerwonej. Potrzebę badań tych w zupełności uznajemy o ile uprzytomnimy dzisiejsze zatargi i walkę kulturalną, jaka wre na danym obszarze pomiędzy Polakami, Rusinami i Rosjanami; dzisiejszych zaś stosunków nie będziemy rozumieli bez szerokiego podłoża formowania się tych stosunków w przeszłości, i o ile, jak szczytnie zapowiadają w prospekcie, inicjatorowie nie będą robić z historji polityki, lecz badać ją taką, jaką była i wyświetlać przyszłość bez uprzedzeń a tymbardziej antypatji narodowych, należy przyklasnąć i poprzeć pracę na nowym posterunku.

Dotychczas redakcja zgrupowała u warsztatu pracy pp. Rawitę Gawrońskiego, Wiktora Czermaka, Aleksandra Jabłonowskiego, Marjana Dubieckiego, Kazimierza Pułaskiego, Luba Radzimińskiego, I. M. Siżyckiego, Ostaszewskiego - Barańskiego, Michała Rollego, Fr. Jaworskiego, Ludwika Kubalę i Aleksandra Czołowskiego.

W pierwszym zeszycie spotykamy prace Marjana

Dubieckiego: „Hugo Kołłątaj na Wołyniu”, fragment bjograficzny z czasów przymusowego pobytu owego wielkiego męża stanu na Wołyniu pomiędzy 1803 a 1807 r. Nader ciekawymi są szczegóły o udziale Kołłątaja w sprawie podniesienia oświaty na Podolu, Wołyniu i Ukrainie, zapoczętej przez Czackiego. Zamiary i projekty Kołłątaja nawet w dobie liberalizmu Aleksandra I nie zdołały pozyskać sankcji rządu, który ani chciał, ani umiał się wznieść na wyżyny myśli polskiego męża stanu. Również nader ciekawym jest geneza paszkwilu Linowskiego, który ze świadomą potwarzą wytworzył skandaliczną bajkę o Kołłątaju, oskarżając go o zdefraudowanie skarbu.

W następnym artykule Rawity Gawrońskiego pod tytułem: „Nazwa Ukrainy, jej początek i charakter” — autor wyjaśnia nam powstanie nomenklatury Ukrainy, która pierwotnie oznaczała tylko graniczny pas ziemi, leżący wzdłuż granicy tatarskiej i wołoskiej czyli na pograniczu województw Kijowskiego, Bracławskiego, Podolskiego, (dzisiejsze Pobereże).

Majer Bałaban zaznajamia nas z ciekawą kroniką żydowską z czasów Chmielnickiego, w której Jawein Memla opowiada o strasznym nieszczęściu, jakie nawiedziło Polskę a wraz z nią w pierwszej mierze żydów.

Następny artykuł poświęcony jest dziejom teatru polskiego w Kamieńcu Podolskim i pomimo dość suchego opisu, autor Aleksander Pruszewicz odtwarza kartę z dziejów oświaty i kultury Polski porozbiorowej na dawnych jej kresach.

Nader ciekawym jest artykuł Ostaszewskiego-Barańskiego, oświetlający pierwsze spory o alfabet na Rusi Czerwonej. Artykuł ten jest ważnym przyczynkiem do pewnych zapoczynań separatyzmu ukraińskiego i powstania wśród Ukraińców pierwocin ruchu odrodzeniowego. Oceny i sprawozdania zamykają pierwszy zeszyt nowego wydawnictwa.

Dla informacji interesujących się bliżej przeszłością tych dawnych dzielnic Polski podajemy, że przedpłata *Rusi* w Rosji wynosi rocznie rb. 6 i że w prenumeracie pośredniczy firma Gebethner i Wolff w Warszawie.

Piotr Zubowicz.

NA DOBIE.

Wyłom w twierdzy.

Dzień dwudziesty siódmy marca 1911 roku stanie się dniem pamiętnym dla tych wszystkich, których serce drga bólem wydziedziczonych, a myśl jak ptak skrzydlaty leci ku światłu.

Chwila, która tak bezbarwnie przeszła dla ogółu Warszawy — skrzesała iskrę... iskrę drobną, niedostrzegalną prawie, lecz wiemy że:

„chwila i iskra gdy się rozszerza, rozpala,
stwarza i zwala”.

Stow. właścic. nieruch. m. Warszawy, organizacja bynajmiej nie postępowa, wskutek odezwy Związku równouprawnienia kobiet — zaprosiła do swego lokalu na posiedzenie dyskusyjne reprezentantki Związku, dla omówienia możliwości podobnej reformy. Sam ten fakt, choć ma z konieczności znaczenie wyłącznie teoretyczne obecnie, jest jednak dla przyszłości wagi ogromnej... jest pierwszym uderzeniem tarana w kamienną twierdzę przesądów, przywilejów i krzywd... jest czemś stokroć więcej; pierwszym wezwaniem rodaków: „Polki, pracujcie razem, by rozświt dnia biały prędzej rozbłysnął na ziemi. Mężczyźni przodujących narodów odpowiedzieli już podobnie na wołanie swych sióstr obywatelek, obecnie wołamy tak i my z kolei”.

Bo rezolucja zebrania — po gorących przemówieniach gospodarzy sali i zaproszonych kobiet — brzmiała: „współudział kobiet w samorządzie jest ze wszech miar pożądany”.

Po odczytaniu przez przewodniczącego powyższych wyrazów — pospolita, banalna sala Stowarzyszenia zmieniła się dziwnie... We frenetycznych oklaskach, które przyjęły słowa pamiętne, usłyszeliśmy cichy, daleki głos dzwonu, tego dzwonu, którego serce bijąc rozgłośnie witało przed stu laty ogłoszenie *praw człowieka.*

Bo głos dzwonu dziejów słychać nietylko tam, gdzie wśród chaosu wielkich rewolucji, genjusze ludzkości wypisują piorunami potężne: „Stań się!” Głos dziejowego dzwonu rozbrzmiewa zawsze tam także, gdzie spełnia się fakt choćby drobny, lecz dający świadectwo sprawiedliwości i prawdzie.

Niezapomniany wieczór dyskusyjny nie był naturalnie, bo być nie mógł, jakimś rzeczywistym projektem reform — wszak nasze społeczeństwo żadnych praw stanowić nie może — ale był on wielkim krokiem naprzód w kształtowaniu opinji publicznej. — Każde prawo pisane, poprzedza zawsze domaganie się tegoż przez głos ogółu; urabianie tego głosu jest zatym czynnikiem najpotężniejszym w zwycięzkim pochodzie cywilizacji ku szczytom.

Jeżeli w dyskusji padło ze strony kobiet parę słów zbyt gorących, jest to winą chyba łatwo wybaczalną. Wszak nawet w najkulturalniejszych parlamentach Europy padają nieraz, z ust wytrawnych i rutynowanych mężczyzn — prawodawców, bardzo nawet ostre wyrazy, a dla gorącości dysputy deputowani nie biorą ich za złe.

Jakie rezultaty daje społeczna współpraca kobiet tam, gdzie już ona jest im dostępną — wiedzą wszyscy.

Zmniejszenie alkoholizmu i prostytucji, a więc i płynących z nich chorób — rozszerzenie wszelkich instytucji opiekujących się dziećmi i młodzieżą, tą przyszłością świata — i cały szereg innych objawów dodatnich — są rezultatem współdziału w rządach obywatelek.

Czyż można przypuścić ażeby tylko Polka, otrzymawszy należne jej prawa, działała w kierunku reakcji i mroków?

Wielka Rewolucja Francuska, ów najpotężniejszy rzut rodu ludzkiego do światła, myliła się mówiąc, że ogłosiła dla *wszystkich* ludzi „prawa człowieka”.

Ona ogłosiła je tylko dla połowy ludzkości. I dopiero obecnie wielki, humanitarny ruch umysłów dwudziestego wieku, podnoszący do równego poziomu drugą połowę ludzkości — rzuci światu istotnie *prawa człowieka.*

Dzień pamiętnej dyskusji był iskrą, która rozpaliła i u nas to wielkie ognisko. Witamy ją z głęboką wiarą, że iskra nie zgaśnie, lecz się rozżarzy w płomię żywiołowe, które rozgrzeje serca wszystkich współrodaków.

Jadwiga Olszewska.

Wilczy dół.

Nie wiadomo, czy p. dyrektor jednej z najstarszych szkół prywatnych polskich studjował *Monita Secreta* oo. Jezuitów, ale to pewne, że nie są mu obce dominikańskie sposoby inkwizycji. Należy do nich naprowadzanie osób podejrzanych o herezję, za pomocą przyjaznej gawędy, *in medias res* drażliwej kwestji przekonań, skąd nieopatrzna i nazbyt ufna szczerość prowadzi prostą drogą do katowni...

Strategję tego rodzaju zastosowano w gmachu szkolnym z niezłym powodzeniem. P. dyrektor urobił sobie swój gabinet nakształt wilczego dołu, gdzie zwabiony przeciwnik smutny znajduje koniec. Przeciwnikiem jest w danym wypadku każdy bardziej rozgarnięty uczeń klas wyższych, mający poglądy odmien-

ne od przekonań dyrektorskich zwłaszcza w dziedzinie spraw religijnych.

Ostatnio właśnie zaszło tam charakterystyczne bardzo zdarzenie. Zacny pedagog zwabił do swego wilczego dołu jednego z inteligentniejszych uczniów, i tam, uśpiwszy czujność chłopca przytulnym ojcowskim frazesem, skłonił go do szczerych wynurzeń na temat poglądów religijnych. Wobec przyjaznej na pozór zachęty, wobec serdecznych ze strony dyrektora nalegań, chłopak zwierzył się ze swych krytycznych poglądów na działalność pewnych pobożnych sfer, ujawnił nadto znaczne w rzeczach dogmatycznych wątpliwości — słowem, okazał się szczerym adeptem Wolnej Myśli, *quod erat demonstrandum.*

Wychodząc tego dnia z komnaty dyrektorskiej, chłopiec nie wiedział jeszcze, że to była pułapka, dół wilczy, usłany z wierzchu liśćmi dla niepoznaki, ze sterczącym z dołu ostrzem podstępnego pala... Dano mu go poczuć przy najbliższej okazji. Pod pierwszym lepszym pretekstem towarzysz „przyjaznych" gawęd, ofiara wilczego dołu, został *stante pede* wydalony, za nazbyt wolnomyślne poglądy.

Jeśli jednak wytrawny ów pedagog, dyrektor jednej z najstarszych szkół polskich i właściciel wilczego dołu przypuszcza, że podobne czyny ujdą mu na sucho — to rzeczą naszą, rzeczą tych wszystkich osób i zespołów, którym leży na sercu honor szkół polskich i zasada wolności sumienia wśród Polaków — będzie wyprowadzenie go z błędu za pomocą stosownych w prasie wystąpień.

Nie poto znosiliśmy przez tyle lat system Arakczejewów i Apuchtinów, nie na to chyba tęskniliśmy za szkołą polską i moralnie czystą w niej atmosferą — by znaleźć się biernie wobec podobnych szpetnych metod, żywcem jakby przeniesionych tutaj ze środowisk, skąd satyryk Szczedryn czerpał wzory do swoich *gospod Taszkentców.*

Kult szatana.

Papież Leon XIII w bulli *Humanum genus* stwierdził obecność djabła w lożach masońskich i zalecił ogólny pochód krzyżowy ku wyrugowaniu wysłańców piekieł z powierzchni globu; co z tego wynikło, czytelnik dowiedzieć się może z broszury *Nieomylność omylona*, z której zdajemy sprawę w niniejszym numerze *Prawdy.*

I aczkolwiek demonologiczne pomysły współczesnych oo. Kościoła zakończyły się na Zachodzie niebywałym a rozgłośnym *fiaskiem*, a pisma klerykalne pośpieszyły puścić w niepamięć cały fantastyczny epos Leo Taxila — jednak tu, w katolickich kołach Warszawy, które co najmiej o lat 25 spóźniać się zwykły za wierzącym Zachodem — wiara w djabła kwitnie w najlepsze, a ryzykowne w tej dziedzinie pomysły znajdują chętny popyt.

To też bez nadmiernego zdziwienia czytamy w *Dzienniku Powszechnym* zdania, żywcem jakby wyjęte z apokryfów Taxil'a.

Z powodu uroczystości włoskich umieścił *Dziennik Powszechny* szereg sensacyjnych „rewelacji" o burmistrzu rzymskim Natanie, który chce jakoby „grać rolę anty-Chrystusa i anty-papieża" (*sic*). „Wszyscy pamiętają — woła ze zgrozą *Dziennik*, — jak dwa lata temu z powodu jubileuszu 20 września kazał ilumi nować Kolizeum... nie herbem państwa, krzyżem Sabaudji, lecz pięcioramienną gwiazdą, emblematem masońskim, którego każde ramię odpowiada pięciu literom: S.A.T.A.N."

Ze swej strony, po zbadaniu tej ciekawej sprawy, przyszliśmy do wniosku, że pięć ramion tej djabelskiej gwiazdy odpowiada innym pięciu literom: B.L.A.G.A.

Ale przypuśćmy, że te rzesze, które karmią się strawą klerykalną, zostały przez publicystów *Dziennika* przekonane, i wierzą święcie w istnienie djabłów tudzież przekorne ich na ziemi psoty... W takim razie litować się trzeba doprawdy nad tymi biednymi mózgami katolickimi, w które, prócz urzędowej kościelnej mitologji, różni świeccy mistyfikatorzy wpierają podobne brednie! A toć ten świat, pełen klechd, przesądów i baśni w górnych i dolnych kondygnacjach, staje się nie do zniesienia dla osób, wyrosłych ponad pojęcia sześcioletniego bębna!... Nie wiadomo, co dziś bardziej Kościołowi zagraża: zgrzybiałość czy zdziecinnienie?

Jeszcze o „Nowej Gazecie".

W ostatnich Echach powiedzieliśmy *Nowej Gazecie* kilka słów gorzkiej prawdy. Dziennik ten nie rozwija się, lecz upada; zamiast jednak otrząsnąć się ze swych wad, popełnia coraz to nowe nietakty.

Pan Kempner w podnieceniu i rozdrażnieniu ucieka się do wymysłów i obelg. Nie pójdziemy za nim tą drogą; nad jego bezsilnym gniewem, który nas nie parzy ani ziębi, przejdziemy do porządku dziennego. Wypowiedzieliśmy o *Nowej Gazecie* publicznie to, co od lat kilku mówiono głośno i szeptano pocichu wśród postępowców polskich. Przez długi czas uważali oni za swój obowiązek popierać *Nową Gazetę* dla zasady, choć nic w tym piśmie dla siebie nie znajdowali. Lecz już przed trzema laty niezadowolenie z *Nowej Gazety* w kołach postępowych było tak wielkie, że uznano za konieczne założenie wielkiego dziennika postępowego polskiego. Zadeklarowano nawet już na ten cel kilkadziesiąt tysięcy rubli, projekt jednakże do skutku nie doszedł, między innymi dla tego, że nie chciano zabić materjalnie p. S. Kempnera.

Nie powstrzymało to jednak staczania się *Nowej Gazety* z piedestału wielkiego postępowego organu polskiego na poziom *Gaz. Handl.* z dodatkiem literackim. Była ona organem pewnej części społeczeństwa naszego a mianowicie żydów - Polaków. W tym charakterze mogła była także oddać duże usługi krajowi, gdyby zyskała wpływ na społeczeństwo żydowskie, zapoznawała społeczeństwo polskie z prądami wśród żydów żargonowych. Niestety, właśnie kwestję żydowską *Nowa Gazeta* poruszała tak niezręcznie, że więcej szkodziła niż pomagała wyjaśnieniu tej kwestji i rozwojowi asymilacji. Dość powiedzieć, że poruszywszy w sposób niewłaściwy i wyolbrzymiwszy kwestję „antysemityzmu postępowego", *Nowa Gazeta* doprowadziła do tego, że pismo, ogłoszone przez nią za „antysemickie" zyskało więcej miru wśród żydów, niż organ p. Kempnera.

Piszemy to *sine ira et studio*, i z żalem, że to, co piszemy jest, niestety, smutną prawdą!

Similis simili gaudet.

Pan Kempner tak przywykł utożsamiać siebie i *Nową Gazetę* z postępem, iż nie jest w stanie zrozumieć, jak można być w Polsce postępowcem i nie wielbić *Nowej Gazety.* Popieranie zaś swej beznadziejnej walki o monopol na postęp uważa widocznie za obowiązek ze strony każdego postępowca i mocno gniewa się, gdy mu w tym ktoś przeszkadza.

Umieszczenie kilku artykulików w obronie p. Ludwika Fryzego, przeciwko któremu pewna klika zorganizowała nieuczciwą nagankę, nazywa „naiwnym służeniem" *Kur. Poran.*, a stwierdzenie faktu, że nawet ludność żydowska woli mniemanych antysemitów niż nudną prozę *Nowej Gazety*, nazywa „bezdenną głupotą, pobijającą się własną śmiesznością". Ten kwiatek stylowy pana Kempnera podobał się widocznie bardzo ks. kanonikowi Skimborowiczowi, skoro wyłowioną z *Nowej Gazety* „bezdenną głupotę" z wiel-

ką uciechą przeniósł na grządki *Dziennika Powszechnego*, gdzie znalazłszy grunt żyzny, wyrośnie zapewne wkrótce na symbol braterstwa broni „kochanego pana Stanisława" z „czcigodnym księdzem Hipolitem".

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Trwający wciąż kryzys „konstytucyjny" skłania pisma nasze do rozważań ogólnych na temat sytuacji obecnej w Państwie, przyczym zdaje się przeważać nuta sceptycznego pesymizmu. Oto niektóre bardziej charakterystyczne zdania: *Kurjer Poranny*, streściwszy komunikat, wystosowany do pism europejskich i przedstawiający akt z d. 27 marca jako sposób utrwalenia konstytucji — czyni następujący komentarz:

> Ostatnia przygoda artykułu 87-go ustaw zasadniczych świadczyłaby raczej o wyrywaniu głównych korzeni idei konstytucyjnych, tak jak akompanjament pewnych niezupełnie zręcznie wyreżyserowanych na moment krytyczny inscenizacji rewolucyjnych dni ostatnich wskazywałby, że to niezadowolenie oświetlane jest jednak po dawnemu bengalskim światłem pyrotechniki cokolwiek ryzykownej. W atmosferze tych idei konstytucyjnych, które są płodem doby arkadyjskiej, nie mogli już wytrzymać nawet pp. Chomiakow i Guczkow. Trzecią Dumę uśpi do snu prezes Rodzianko. Czwartą przebudzi do życia może już prezes Puryszkiewicz... Są to doprawdy najlepsze metody, aby w Rosji wzbudzić tęsknotę za absolutyzmem bez podobnej domieszki konstytucyjnej.

Gazeta Warszawska usiłuje wyjaśnić, dlaczego opinja polska wieść o zachwianiu się rządów Stołypina przyjęła z zadowoleniem.

> To przecie dla wszystkich chyba widoczne było, że zwyciężają właściwie żywioły przeciwne nowoczesnym dążeniom do reform w ustroju państwowym. Ale to także każdy rozumie, że ze wszystkich sposobów rządzenia państwem najszkodliwszy jest dla nas ten, który polega na kupowaniu sobie władzy naszym kosztem, przez ludzi, którzy trzymają ją w ręku drogą schlebiania skrajnym dążeniom nacjonalistycznym w nierosyjskich ziemiach państwa.
>
> Jest też niemało Rosjan, którzy rozumieją, że ten sposób rządzenia i dla państwa nie jest najkorzystniejszy. Co prawda, nie pochodzi to stąd, ażeby w Rosji wogóle jakikolwiek obóz posiadał racjonalny program polityki względem narodowości nierosyjskich, w szczególności zaś w kwestji polskiej, ale stąd, że polityka p. Stołypina wyprowadza na front politycznego życia rosyjskiego żywioły najmniej w Rosji politycznie dojrzałe — Rosjan kresowych, rozmaitych polityków bessarabskich, podolskich, mińskich, i t p., którzy ani poziomem umysłowym, ani kulturą, ani zrozumieniem ducha i potrzeb właściwego życia rosyjskiego nie dorośli do dominującego wpływu.

Ten wysoce krytyczny pogląd na wartości polityki nacjonalistycznej, a zwłaszcza na moralny poziom głównych jej popleczników — jest nader miłą niespodzianką ze strony pisma, które z uporem godnym lepszej sprawy usiłowało i u nas zaszczepić prusko-stołypinowskie metody.

* *Przełom* (N. 6) tymi słowy charakteryzuje nacjonalizm, jako sztukę rządzenia:

> Państwo, według Ekscelencji Stołypina, należy pojmować jako związek i jako siłę, spełniającą historyczne zadania narodowe. Takie państwo, ziszczając przykazania narodowe, rozporządza wolą — siłą i władzą wykonawczą. Takie państwo podporządkowywa prawa oddzielnych grup narodowościowych prawom całości, a za taką „całość" uważa p. Stołypin — rdzenną Rosję. Różne naziemne i podziemne prądy państwowe, sprzeczne z tą urzędową teorją narodowości panującej, względami ministra „żelaznej ręki" się nie cieszą. Mądre państwo musi każdy taki nurt zbadać, ująć i skierować do ogólnego (t. j. rdzennie rosyjskiego) łożyska państwowego.

* P. Ludwik Romocki, uznając widać *Kurjer Warszawski* za teren nieodpowiedni do wygłoszenia kilku jędrnych słów prawdy o stosunkach poznańskich, takie na szpaltach *Nowej Gazety* snuje uwagi na temat Beocji wielkopolskiej:

> Atmosfera tamta ma to do siebie, że obezwładnia ludzi o najlepszych chęciach. Ta atmosfera ciężka, stęchła, prowincjonalnego miasta, która prosi się o pióro Zapolskiej. Okna otworzyć! chociażby jedno, bo żyć w niej niepodobna, pod grozą uduszenia się. Ale nużby przeciąg zawiał jakiego Dauma lub „gdowę"!
>
> A jednakże żyją, zgoła zadowoleni z siebie, w tych warunkach, ludzie, ba, już generacje całe, od pół wieku, od chwili, gdy zagasło świecące w połowie zeszłego wieku jasnym blaskiem ognisko myśli i kultury na całą Polskę — w Poznaniu. Niżej podpisany proszony był przez redakcję „Dziennika Poznańskiego", gdy tenże dziennik dwa lata temu wydawał z okazji pięćdziesięcioletniego istnienia swego, książkę jubileuszową, o skreślenie do niej dziejów umysłowości poznańskiej z tego właśnie przeciągu czasu. Oddałem — białe karty.

P. Romocki, mimo swego całego krytycyzmu, nie może lub nie chce dojrzeć przyczyn kulturalnego upadku W. Księztwa, które, będąc dla nas „Beocją" jest zarazem *Arkadją* rzymskiego duchowieństwa. Najśmielsi duchem jej obywatele, gdy im przychodzi ten temat poruszać, wolą oddać „białe kartki"; nie stać ich jeszcze na tyle cywilnej odwagi, by te kartki wypełnić niemiłą dla ks. Zimmermanna treścią.

KRONIKA.

PROCES O ZABÓJSTWO RYBAKA w Krakowie, po długich rozprawach zakończył się uniewinnieniem obu oskarżonych — Trudnowskiego i Sadowskiego. Publiczność powitała wyrok z zadowoleniem.

STATYSTYKA WARSZAWY. Dzięki wystawie drezdeńskiej, na której znalazły się tablice statystyczne Warszawy, opracowane przez p. A. Zakrzewskiego, zyskaliśmy możność obeznania się z ruchem ludności naszego miasta. Przedstawia się on w sposób następujący:

Ludność Warszawy 1805 — 1910.

Rok 1805—68,000; 1813—81,220; 1825—120,643; 1830—113,953; 1835—135,577; 1840—139,591; 1845—163 624; 1850—163,597; 1855—156,562; 1858 —158,817; 1865—186,147; 1870—260,218; 1875—297,478; 1880—358,169; 1885—406,905; 1890—455,852; 1895—533,968. 1900—680,010; *1904—771,582*; 1905—767,897; 1906—746,513; 1907—764.647; 1908—751,595; 1909—764,054; 1910—781,170.

Okazuje się zatym, że po okresie szybkiego wzrostu, nastąpił w r. 1904 zastój, z którego w ostatnich dopiero czasach miasto się podźwiga.

SPRAWA MUZEUM W RAPPERSWYLU. Dnia 1 kwietnia odbyło się w auli uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie zebranie w sprawie muzeum narodowego w Rapperswylu, zwołane przez komitet, złożony z kilku osób, wskutek zarzutów, podniesionych przeciw kustoszowi Muzeum.

W obradach zarysowały się odrazu bardzo wyraźnie dwa poglądy.

Pierwszy pogląd przedstawiali pp. Stan. Szpotański, który postawił wniosek, by Sejm krajowy i Rada m. Krakowa wydelegowały komisję, celem zbadania gospodarki w Muzeum, oraz p. Wilhem Feldman, który w tym samym

celu proponował komisję, delegowaną przez Akademję Umiejętności, Muzeum narodowe krakowskie, Muzeum imienia Lubomirskich lwowskie, oraz Grono konserwatorów.

Przeciwny pogląd przedstawił prof. Skroński. Jedynym ciałem, powołanym do zbadania zarzutów, jest Rada muzealna. W skład jej wchodzą ludzie ogólnie szanowani i zasłużeni i stanowczo nie mamy prawa odmawiać im zaufania i nasyłać jakieś komisje z zewnątrz. Sejm oczywiście żadnej komisji delegować nie może, bo nie leży to w jego kompetencji i jest prawie najzupełniej niemożliwe. Tak samo Rada m. Krakowa nie jest kompetentna, a nadto najświeższe przykłady, jak sprawa rydzyńska, świadczą, że jeżeli gdzie, to nie do Rady m. Krakowa należy się zwracać ze sprawami tego rodzaju. Zresztą, jeżeli jakakolwiek komisja z zewnątrz ma się dostać do Muzeum, musi mieć pozwolenie Rady Muzealnej. Wnioski, pomijające Radę muzealną, są zatem niewykonalne, fantastyczne i chyba manifestacyjne. P. Stroński przedstawił zatem wniosek:

„Zebranie z d. 1 kwietnia 1911 r. zwraca się do Rady Muzeum narodowego w Rapperswylu z wezwaniem, aby jaknajśpieszniej podała wyjaśnienia w sprawie zarzutów, podniesionych przeciw zarządowi Muzeum, oraz przedstawiła, jakie środki zaradcze zamierza podjąć. Wykonanie tej uchwały powierza zebranie swemu prezydjum".

W głosowaniu przeszedł wniosek prof. Strońskiego. Wnioski pp. Szpotańskiego i Feldmanna upadły.

W innej sprawie, poruszonej przez d-ra Bąkowskiego, mianowicie w sprawie przeniesienia Muzeum do kraju, omawianej od dłuższego czasu, przyjęto wniosek p. Feldmana, upraszający prof. d-ra St. Wróblewskiego, prof. d-ra Rosenblatta i mec. d-ra Koya, by zbadali stosunki prawne i akt fundacyjny Muzeum.

ROCZNY BILANS DZIAŁALNOŚCI TOW. ZACHĘTY DO SZTUK PIĘKNYCH. Sprawozdanie z czynności komitetu Tow. Zachęty, odczytane na ogólnym zebraniu jego członków, jest ciekawym dokumentem rozwoju instytucji, która pięćdziesięciolecie swego istnienia zaznacza niebywałym w naszych warunkach rozrostem.

W roku jubileuszowym Towarzystwo doszło do liczby 8,568 członków. Liczba ta mówi sama za siebie.

Słusznie wyrzekł wiceprezes Towarzystwa w słowie wstępnym do sprawozdania rocznego, że Tow. Zachęty „z pośród analogicznych instytucji zdobyło sobie jako łącznik między społeczeństwem a artystami stanowisko wyjątkowe".

Jak wiadomo, rok jubileuszowy zaznaczył się w dziejach towarzystwa szeregiem pamiątkowych objawów, jak urządzenie niedawno zamkniętej „wystawy jubileuszowej", obejmującej 331 obrazów, 38 rzeźb i 64 prace architektoniczne, graficzne i okazów sztuki dekoracyjnej i stosowanej; wydanie w formie premjum wspaniałej kolorowej reprodukcji z „Grunwaldu" Matejki, — wytworzenie jubileuszowego funduszu, zebranego dzięki ofiarności ogółu, a wynoszącego poważną sumę 10,388 rb. (w co wlicza się również dochód z wystawy cyklu „Dziejów cywilizacji w Polsce" mistrza Matejki).

Przechodząc do sprawozdania, widzimy przedewszystkim wzrost członków i, co za tym idzie, poważną sumę 42,840 rb., która tą drogą wpłynęła do kasy Towarzystwa.

Szereg wystaw obok wystawy stałej wpłynął znacznie na powiększenie się frekwencji, której wynikiem była liczba 14,060 rb. 62 kop., zebrana z opłat za wejście.

W roku sprawozdawczym Towarzystwo miało członków rzeczywistych 920, w tej liczbie malarzy 51, rzeźbiarzy 9, architektów 30 i miłośników sztuki 830, członków zwyczajnych 7,648. Razem wziąwszy było 3,068 członków więcej, niż w roku poprzednim. Dochód ze składek członków zwiększył się o 15,340 rb., wzmogła się również liczba korespondentów.

Niezależnie od wystawy stałej, odbyły się następujące specjalnie ekspozycje: 1) obrazów K. Stabrowskiego, 2) P. Stachiewicza, 3) Leona Wyczółkowskiego, 4) pań Bruinier, Chulus i Duninówny, 5) Józefa Rapackiego, 6) pośmiertna Stefana Dąbrowskiego, 7) Stowarzyszenia „Odłam", 8) kolekcji prac Skoczylasa, Trzebińskiego, Pieńkowskiego, Piątkowskiej, Ćwiklińskiego, 9) cyklu „Dziejów cywilizacji" Matejki, 10) sztychów Feliksa Jasieńskiego, 11) rzeźb Tolli Certowiczówny, 12) prac graficznych Wyczółkowskiego, 13) francuskiago malarza Lunois, 14) Jacka Malczewskiego, 15) St. Masłowskiego, 16) uczniów szkoły przemysłowej w Reichenburgu, 17) retrospektywna Norblina, 18) retrospektywna Orłowskiego, wreszcie 19) „wystawa jubileuszowa", która zakończyła rok sprawozdawczy.

Pomijąc szczegółowe pozycje, zaznaczamy, że wystawę zwiedziło w ciągu 1910 r. — 189,211 osób.

Dochód z wejścia wyniósł 14,060 rb., 62 kop.

Konkursów pod egidą Towarzystwa odbyło się dwa: 1) na projekt okładki do katalogu Tytusa Kowalskiego — nagrodę przyznano Sarze Lipszyc; 2) na plakat fabryki cykorji Boehma—nagrodę otrzymał Edward Butrymowicz.

Zakupiono do rozlosowania dzieł 172 — za cenę 12,780 rb., sprzedano zaś miłośnikom sztuki 218 utworów za 49,929 rb.

Do ważnych zmian w lokalu wystawy należy przerobienie sali narożnej na salę z górnym oświetleniem, przez co wystawa zyskała na wartości.

Notatnik wydawniczy.

Ster. Treść zeszytu III-go: O równe prawa do pomocy społecznej, P. K. R. — Udział kobiet w życiu publicznym. — Człowiek czynny a bierny. — Ubezpieczenie macierzyństwa (dok.), Jerzy Kurnatowski. — Towarzystwo kredytowe miejskie — a kobiety, K. — Kobieta o kobiecie, Jadwiga Grodzińska. — Nieco o życiu i powieściach lekarskich. — Dr. Dora Teleky, O wieku niebezpiecznym. — Konferencja kobiet, G. N. — Żibute, G. Pietkiewiszówna. — Piąty Oddział Tow. Kultury Polskiej, x. — Związek równouprawnienia kobiet polskich: Pytajnik o przepisach fabrycz. — Liga kooperatystek. M. Z. — Wyłomy. — Przegląd prasy równouprawnienia. — Dary. — Odpowiedzi Redakcji. — Od Administracji. — Ogłoszenia. — Dodatek powieściowy: Kobiety, które wołanie dosłyszały.

Ziemia, tygodnik krajoznawczy ilustrowany, wychodzący w Warszawie (Aleje Jerozolimskie 29), w bieżącym miesiącu pomieszcza następujące prace:

K. Stołyhwo — W sprawie ochrony zabytków antropologicznych; dr. B. Dybowski — Dwie Świtezie (z 6 ryc.); J. H. — Zamek wendeński (z 5 ryc.); Józef Smoliński — Kaptur i namitka (z 6 ryc.); W. Szukiewicz — Dawne lasy królewskie na Litwie; K. Steinbok — Ze skarbów naszej przyrody (z 4 ryc.); S. J. Czarnowski — Jaskinie Góry Chełmowej w Ojcowie (z 9 ryc.): Al. Janowski — Działalność krajoznawcza na prowincji; Dr. Ludomir Sawicki — Nowe muzeum etnograficzne „Ogrójec" Wita Stwosza w Krakowie (z 1 ryc.); Zofja Plewińska — Wycinanki (z 13 ryc.); St. Warcholik — Tyniec (z 1 ryc.); T. Włoszek — Z dziejów Miechowa; Al. Janowski — Izba Łowicka (z 2 ryc.); Stanisław Thugutt — W obronie własnej; — Pałac w Swojatycznych (4 ryc.);—Pałac w Stokach (z 1 ryc.); Z polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. — W pilnej sprawie naukowej. Z piśmienictwa. — Kronika Krajoznawcza.—Nowe książki. Odpowiedzi Redakcji. — Poza tekstem. Z naszych krajobrazów: Z okolic Warszawy. Z Białej Rusi. Z Kijowa. Wycieczka księżaków na wystawę.

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwa „PRAWDY".

Antoni Szech: **Na sąd was wzywam** Cena k. 30

Jerzy Kurnatowski: **O Solidaryzmie** „ 20

E. St. Rappaport: **Radykalizm** „ 20

Stefanja Sempołowska: **Z dna nędzy** „ 25

Antoni Menger: **Prawo do całkowitego wytworu pracy** „ 75

Karol Gide: **Rozwój instytucji społecznych w ciągu XIX stulecia** „ rb. 2

JÓZEF METELSKI

przygotował na sezon wiosenny i letni:

Kostjumy, suknie, spódniczki, bluzki, okrycia, palta i żakiety w różnych gatunkach i kolorach.

Niezależnie od powyższego przyjmuje się:

obstalunki jak z własnych, tak i powierzonych materjałów.

Ceny możliwie nizkie.

Warszawa, Chmielna 35, tel. 152,27.

Zamówienia z prowincji uskutecznia się szybko i dokładnie.

Uwaga! **Życzącym na rozpłaty miesięczne.**

Wychodzi w każdy czwartek

NOWY

SZCZUTEK

Tygodnik satyryczny.

V rok istnienia.

W Warszawie: rocznie rb. 4., półrocznie rb. 2 kwartalnie rb 1.

Za przesyłkę pocztową dopłaca się **rubla** w stosunku rocznym.

Adres Administracji: **BIURO UNGRA, Aleja Jerozolimska 78, w Warszawie.**

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kjoskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.